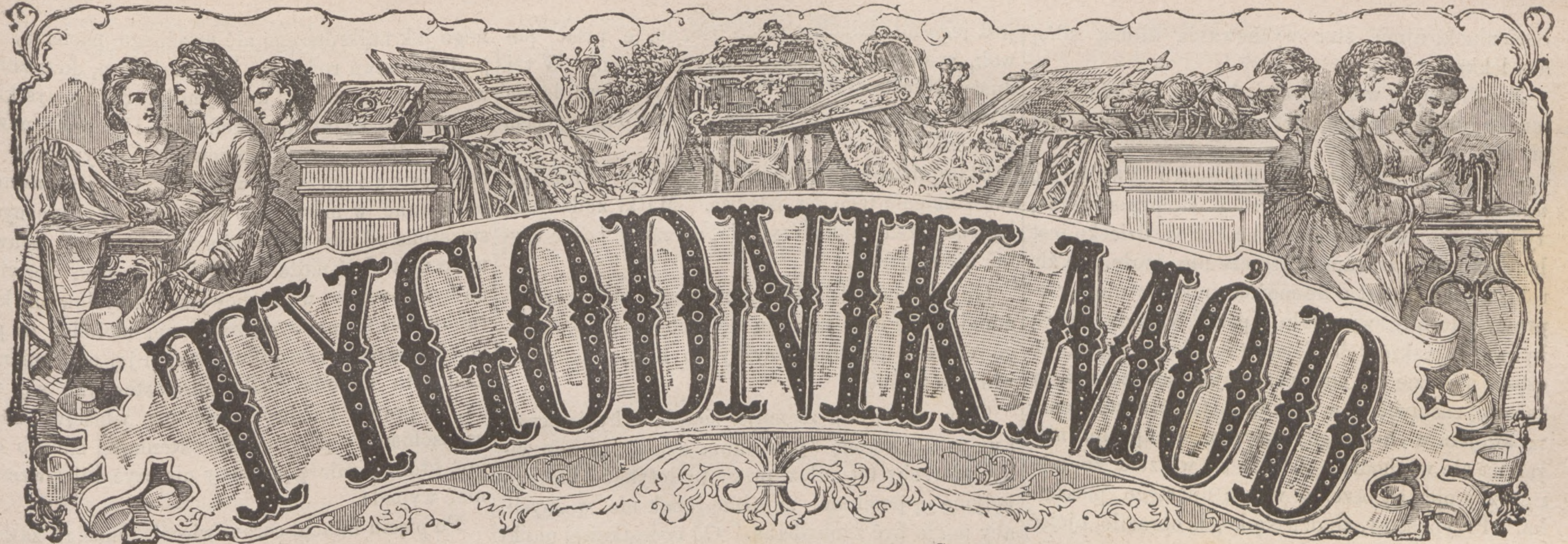
№ 35 Warszawa, dnia 21 Sierpnia (2 Września) 1882 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

ZADANIE MATKI.

Przez A. F.

Pięknem jest stanowisko kobiety chrześciańskiej stojącej mocno i stale na straży domowego schronienia.

Tam jak w arce Noego pośród społecznych powodzi przechowuje ona wszystko co dobre i święte.

Zaprawdę, wzniosłe to powołanie — jego szczytem i koroną jest zadanie matki.

Czy aby dobrze spełnić swoje zadanie, matka potrzebuje koniecznie być kobietą uczoną?...

Śmiało powiedzieć można, że *niekoniecznie.* Wszelako niezbędnie potrzebnym jej *rozum,* ów promień Bożego światła...

Jeżeli kobieta jest uczoną, a przytem rozumną we właściwem i ścisłem znaczeniu tego słowa, tem lepiej, łatwiej jej przyjdzie być nie tylko przewodniczką ale i nauczycielką swych dzieci. W razie zaś gdyby mało miała nauki, jeśli posiada rozum, i wtedy umiejętnie sobie poradzi z wychowaniem dziecka. Z siebie da mu wszystko, co tylko dać zdoła i w pomocniczych środkach mądrze wybrać potrafi. Rozum wyrabia trafność sądu, zdrowy pogląd na rzeczy, hart woli, jasne pojęcie obowiązku.

Rozum jest zawsze praktycznym, uczoność bez niego jest niedołężną. Rozum nie pogardza nauką, przeciwnie szanuje ją w drugich i szuka jej dla siebie, w miarę sił swoich i zdolności zdobywa pracą skarby wiedzy, a wstępując na jej szczeble o tyle o ile zdoła, dąży przytem coraz wyżej i wyżej do doskonałości chrześciańskiej.

Aby dążyć do doskonałości chrześciańskiej, potrzeba mieć głęboko wyryte w sercu i umyśle prawo Boże i takowem żyć... Ono dla matki-chrześcianki jest pochodnią oświetlającą drogę po której ma prowadzić swe dziecię; wstępuje na nią pełna dobrej woli, ale wie że dobra wola jest tylko dobrego zarodkiem, że w ślad za nią idzie *trud,* trud cierpliwy, wytrwały i rozumny, że celem tego trudu powinna być wola Boża, z którą dobra wola matki będzie jakoby w nierozerwanej spółce...

Idąc po drodze woli Bożej, matka usunie najpierw z wychowania dziecka, o ile to będzie w jej mocy, wszelkie złe wpływy. Przeciwko takim, któreby nie dały się usunąć bez naruszenia innych świętych obowiązków córki, żony i t. p., matka postawi najpotężniejszy ze wszystkich—wpływ macierzyńskiej miłości. Wpływ ten zaczynający się od pierwszej chwili życia dziecięcia, nie skończy się nawet z jej życiem, bo w postaci słowa i przykładu wszedłszy do jego serca, będzie nieśmiertelnym.

Wiadomo jaka potęga złego i dobrego ukrywa się w złym lub dobrym wpływie. Ludzie dojrzali, zbrojni nauką i doświadczeniem, częstokroć oprzéć się jej nie mogą; dziatki bezbronne podbija ona zupełnie.

Nowonarodzone dziecię oprócz zaspokojenia fizycznych potrzeb, zdaje się nie wymagać nic więcej. Zdrowe powietrze, letnia kąpiel, czyste pieluszki, umiarkowane światło i ciepło, pokarm matczynej piersi—oto warunki jego bytu. Ale zarówno z rozwojem fizycznym postępuje rozwój moralny i ztąd owo proste, a tak trafne przysłowie: *Cnota wyssana z mlekiem.*

Zmysły są otwory któremi świat zewnętrzny wciska się do duszy dziecięcia. Przez nie wpada tam ziarnko obumarłe do czasu, ale mające zaród życia, kiełkuje powoli, nieznacznie, aż gdy się oczom naszym ukaże, nieraz pytamy ździwieni jak ono się zasiało mimo naszej wiedzy i woli?

Obowiązkiem więc matki jest otoczyć dziecię, od pierwszych chwil jego życia zdrową atmosferą, zarówno moralną jak fizyczną. Niech się w niej rozwija swobodnie, przy cieple domowego ogniska, a oko matki niech mu będzie okiem Opatrzności widomej. Opatrzność ta, na wzór Bożej, której w tym razie powinna być odblaskiem, niech będzie przyszłość przewidująca. Czułostkowość niech ustąpi miejsca czułości trzeźwej i mądrej, próżność prostocie, cudzoziemczyzna narodowości. Dotąd jeszcze trwa niestety u nas, zwłaszcza u rodzin bogatych, smutny obyczaj przyjmowania do dzieci bon cudzoziemek. Żal pomyśléć jakie nieraz wyrzutki społeczeństwa wchodzą tym sposobem do zacnych domów naszych. Tu, jak we wszystkiem, matka-chrześcianka, duszę dziecka na pierwszym względzie mieć będzie, i osoby, której przeszłość, zasady, obyczaje nie są z gruntu jej znane, nie wprowadzi do domu; nigdy też dziecka obcej mowy uczyć nie zacznie, póki swoją dobrze władać nie będzie. Zbyt wczesne uczenie dziecka obcego języka, utrudnia swobodny rozwój myśli i porządne ich uszykowanie. Dobrze jest gdy z postępem lat dziecię nabierać będzie wprawy do mówienia obcemi językami, ale w razie materyalnych trudności, ubodzy rodzice powinniby zaniechać wszelkich w tej mierze wysiłków. Za pieniądze, któremi się opłaca bona cudzoziemka, można zebrać biblioteczkę wybornych dzieł edukacyjnych z których niebogata matka rodziny zaczerpnie do wykształcenia swych dzieci nioocenione pomoce.

Tak więc, usunąwszy o ile to być może złe wpływy, matka ma stanąć w stosunku swym do dziecka, nie już z przyrodzoną miłością, która bywa często słaba i zaślepiona, ale z miłością chrześcianki, hartowną i oświeconą. Zawsze kochająca, nawet wtedy gdy z obowiązku surowa, łagodna a stanowcza, czynna a spokojna, porządna a nie drobiazgowa, sprawiedliwa w najdelikatniejszych

odcieniach, ujmie ster wychowania dłonią silną acz lekką.

Nie krępując woli dziecka, będzie ją ku dobremu naginać ostrożnie i bez gwałtu, ażeby jej nie złamać.

Pierwszym objawem woli w dziecku bywa często *upor*. Uporem nie ma potrzeby się przestraszać, tylko nim umiejętnie kierować. Póki dziecko jest bardzo małe i zrozumiéć jeszcze nie może, że źle robi, najlepiej jest o ile można unikać z nim przeprawy, którąby wywołała upór. Napady uporu bywają u niektórych dzieci tak nieprzeparte, że często na razie nic nie pozostaje, jak zganiwszy surowo, zostawić je w spokoju. Chęć postawienia na swojem w chwili gdy dziecko się uparło, nieraz na złe wychodzi. Zdarza się widziéć że siła i groźby ojca są bezsilne wobec upartego pisklątka. Przypuśćmy, że dziecię kogoś obraziło, ojciec każe mu natychmiast obrażoną osobę przeprosić. Dziecię się wzbrania i zacina się w uporze, ojciec usiłuje je zmusić najsurowszemi środkami—wszystko naprózno; wynika więc gwałtowna scena, której skutki mogą być stokroć gorsze w przyszłości, niż przewinienie dziecka w tej chwili. Postępowanie z dzieckiem upartem wymaga wielkiego taktu, umiarkowania i stanowczości, ale łagodnej. Każdy objaw takiego uporu, który przechodzi w otwarte nieposłuszeństwo, należy mu zganić ze smutkiem i powagą, zawsze dodając, że Bóg się gniewa na dzieci nieposłuszne.

Sama widziałam jak upór dziecka nie dający się zwalczyć najdotkliwszemi karami, przeciwnie, wzrastający w miarę ich używania, miękł potem i jak wosk topniał wobec łzy wychowawczyni i obrazu Chrystusa błogosławiącego dziatki. „Ciebie nie pobłogosławiłby Pan Jezus w tej chwili", mówiła ze smutkiem rozumna mistrzyni, a dziecię po zadośćuczynieniu za swoją winę, pytało z wyrazem słodyczy i pokory: „A teraz, czyby przebaczył, czyby pobłogosławił?..."

. . . .

Chciéć wyrwać upór z charakteru dziecka środkami gwałtownemi i doraźnemi, jest to psuć ten charakter i więcej mu przynieść szkody niż moralnej korzyści. Należy wcześnie się przygotować, że w miarę rozwijania się dziecka, będą się w niem rozwijać dobre i złe skłonności.

Złe ziele należy wyrywać ostrożnie, aby według słów Zbawiciela, nie wyrwać pszenicy, która społem rośnie.

Matka przyzwie tu na pomoc własną wolę dziecka. Od pierwszej chwili rozbudzenia się w niem władz ducha i umysłu, będzie mu mówić o Bogu, uczyć co grzech a co cnota i wdrażać pomału do własnej nad sobą pracy. Będzie z niem razem pracować, czyli raczej długo będzie pracować sama, ciężko, mozolnie, wytrwale, dźwigając cały ciężar siłą swej macierzyńskiej miłości. Ale nieznacznie z postępem lat, ciężar ten coraz więcej z jej ramion będzie zabierać dziecię. Matka będzie mu słodko a uważnie usuwać z przed oczu wszelkie złe przykłady, z umysłu i serca wszelkie zgubne wpływy o rzeczach, które widzi i słyszy, sąd jego rozwijać i prostować i ustawiczną, cichą, prawdziwie anielską strażą duszę jego otoczy. W miarę przybywania sił jego moralnych, będzie z niem postępować podobnie jak z jego rozwojem fizycznym, nie wodząc go ciągle na pasku, pozwoli mu ich próbować, zawsze czuwająca, aby w samą porę podtrzymać jego niepewne kroki.

W postępowaniu z dzieckiem, rządząc się sama prawem Bożem, matka na tej białej karcie jaką jest jego młodziuchne serce, zacznie je pisać powoli, w sposób najbardziej miły i dostępny. W tej duszy, świeżo wyszłej z rąk Stwórcy, łatwo da się słyszéć pierwszy dźwięk tego co jest Jego głosem *sumienia*.

Skoro dziecię zaczyna złe od dobrego odróżniać, już sumienie jego się odzywa. Matki zadaniem, jeszcze przed nauką czytania, zacząć je uczyć czytać w sumieniu...

Gdyby duszą dziecka zajmowano się przynajmniej o tyle o ile zajmują się zachodami około jego ciała i umysłu, jacyżby to ludzie zaludnili wkrótce ziemię!

Tylu uczonych zajmuje się dziś hygieniczną i umysłową stroną wychowania dzieci, że nie widzę potrzeby tej gałęzi pracy tu dotykać i dlatego jedynie ją pomijam, zupełnie jenak nie w myśli, aby miała być zaniedbaną. Od początkowej nauki czytania, do której dobierają sposobów najdostępniejszych i najłatwiejszych, pedagogowie dzisiejsi starają się prowadzić wychowanie, aż na najwyższe szczeble nauki—tyle jest metod, tyle ułatwień, tyle wskazówek, że rodzice i nauczyciele mają w czem wybrać aby zastosować do potrzeb i zdolności dziecka. Ale i sama nauka przyjmie się i zaszczepi tem łatwiej, i wtedy jedynie wyda dobre i zdrowe owoce, gdy dobrze będzie uprawiony jego grunt moralny. Otóż około uprawy moralnego gruntu dziecięcia, warto w pocie czoła pracować, pracować nie oglądając się na własne korzyści, własną pociechę, pracować tem mozolniej i wytrwalej, im bardziej niewdzięczny grunt jest dany nam ku uprawie. Jakie będą plony, Bóg wie, bo On je daje—do nas należy praca – i tylko praca.

Przecież poczciwej pracy musi być dobry skutek.

Dziecię, które wychowujemy, może przez brak zdolności i sprzyjających okoliczności niedaleko zajść w naukach, ale może i powinno zostać użytecznym członkiem tej ogromnej rodziny, jaką jest ludzkość cała. Dla niej potrzeba posług rozmaitych, w niej miejsce stosowne dla niego z pewnością zawsze się znajdzie. Idzie o to, aby człowiek w każdym stanie i na każdem miejscu umiał dobrze spełniać swoją powinność.

Do dobrego i sumiennego pełnienia powinności wcześnie dziecię wdrażać należy. Przyszedłszy na świat, przyniosło z sobą powinności dla Boga, kraju, rodziny, bliźnich i siebie samego. Z pierwszem rozbudzeniem jego sumienia, niech się w niem rozbudza poczucie powinności. Matka wskazując mu je w miarę jego pojęcia, ucząc je pełnić stosownie do lat jego dziecinnych, zawsze przyda: że tak Bóg chce.

Wola dziecka wcześnie zacznie się buntować przeciw obowiązkom wypływającym z powinności. Nic dziwnego — od początku do końca życia, spełnienie obowiązku jest rzeczą niełatwą.

Jednakże matka powinna być nieugiętą w wymaganiu od dziecka, aby wypełniało sumiennie i dokładnie to co do niego należy, chociażby mu to było niemiłem, ale też i niezmiernie powinna być baczną i ostrożną w nakładaniu na dziecię obowiązków, i nic nie wymagać nad jego wiek i siły.

W pierwszych latach należy dać dziecku jak najwięcej swobody, pomimo to ustawiczną czujność i baczność, aby swoboda nie przechodziła w samowolę.

Do pięciu lat życia, dziecię karcone łagodnie za wszystko złe i niewłaściwe, wdrażane do codziennego jak najkrótszego ale uważnego pacierza, do posłuszeństwa rodzicom i przełożonym, do uszanowania dla starszych, uprzejmości dla wszystkich ludzi bez wyjątku, łagodności i pewnej nawet opieki dla zwierząt domowych, przyuczane do ochędóstwa i porządku w trybie życia i zabawach, hartowane w miarę jego zdrowia i sił fizycznych, strzeżone od zbytku w ubiorze i jedzeniu, usuwane o ile to być może od złych wpływów, rozwijane być powinno w duchowym i umysłowym kierunku, bez żadnej systematycznej metody, za pomocą zdrowego rozsądku matki i jej natchnienia. Żadna tu metoda dosłownie zastosować się nie da, bo prawie każde dziecię ma właściwe sobie usposobienia i przyrodzone skłonności złe lub dobre, które w miarę potrzeby niszczyć albo wzmacniać wypada.

Po pięciu latach, coraz więcej, chociaż zawsze bardzo ostrożnie i zwolna należy wciągać dziecię do obowiązkowej pracy. Praca ta w początkach może się ograniczyć do kilku minut, nie mniej jednak wymagać już od niego potrzeba pewnej ścisłości w jej wykonaniu.

Tym sposobem, w zakreślonym myślą Bożą kole ogólnych powinności człowieka, rozszerza się powoli koło obowiązków jego szczególnych. Ciężar ich nie jednakowej jest wagi, ale to pewna, że zastosowany do sił każdego. Na przeciwnej szali, w miarę ciężaru, Bóg kładzie łaskę swo ją i utrzymuje równowagę.

Niech więc dziecię uczy się od lat najmłodszych prosić Boga o tę łaskę. Przekonanie, że bez łaski Boga najmniejszej dobrej rzeczy wykonać nie może, ochroni je od zarozumiałości, jak również myśl, że Bóg dobrym chęciom zawsze gotów dopomódz ustrzeże je od zniechęcenia.

Zarozumiałość łatwo się wkrada do umysłów zdolnych i pojętnych, którym wszystko bez trudności przychodzi, jak również zniechęcenie ogarnąć może tych, którym natura odmówiła bystrego pojęcia i dobrej pamięci.

Trudnem jest, a nawet prawie niepodobnem wykorzenić w dziecku wady pochodzące z temperamentu, jako to: usposobienie do lenistwa, niepohamowaną żywość wyobraźni, gwałtowność uczuć, porywczość, skłonność do marzycielstwa i czułostkowości i t. p. Rozumna matka może przez trafne i delikatne środki moralne łagodzić ich siłę, wstrzymywać wzrost, zapobiegać i leczyć, ale głównie wyrabiając dobrą i silną wolę wychowańca, w niej przysposobi przeciwko tym wadom broń najdzielniejszą. Wady wynikające wprost z jego temperamentu, wymagają nieustannej czujności i pracy wychowawcy, ale martwić się niemi zbytecznie nie należy, jeżeli dziecko stara się im opierać, a nierozmyślnie w nie wpadając, szczerze potem za swoje przewinienie żałuje. Wiele także zależy na tem, aby przez dobrze zastosowane higieniczne środki, zmodyfikować o ile to się da, chorobliwy temperament dziecka, wszelako wady temperamentu zostaną mu przez całe życie polem do walki i do zasługi.

(*D. n.*)

PIOSENKA.

(Wspomnienie.)

Czy mi chwilką zajaśnieje,
Lat młodzieńczych blask uroczy,
Czy wspomnienie przed me oczy,
Stawi smutnych dni koleje...

Czy uniesion w świat marzenia,
Gonię myślą za snów cieniem,
Po łzę szczęścia, po marzenia,
Po dłoń bratnią przed cierpieniem...

Tam... gdzie dusza ma uleci,
Czy ku niebu, czy wśród ludzi —
Jak z letargu mnie obudzi,
Jak słoneczkiem mi zaświeci.

Czarnobrewa ma królowa,
Ideału postać żywa...
A tak cudnie do mnie spływa,
I miłości szepcze słowa,

Iż zaprawdę... mimowoli,
Łzę radości czuję w oku,
I na każdym życia kroku,
Widzę jasność złotej doli..

Bo mi moja czarnobrewa,
Taki nektar w serce wlewa,
Taką pieśnią poi duszę, —
Iż ją wiecznie kochać muszę!...

Janusz Pełka.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Oddawna już, bardzo dawno, nie oglądały stare ciche mury naszego pałacu, takiego dnia ruchliwego i hałaśliwego, jak ów ostatni karnawałowy poniedziałek. Od samego rana ekwipaże, furmanki i podwody wszelkiego rodzaju kursowały pomiędzy Młynami i stacyą kolejową, zwożąc to muzykę, to gości dalszych, którzy ze wszystkich stron nadsyłali depesze telegraficzne prosząc o konie na wszystkie możebne pociągi przychodzące. I kiedy około dziesiątej, zakłopotana panna Rewińska przyszła prosić abym posłał konnego po jakieś pudło z cukrami, które jeszcze nadesłać miano z Warszawy, musieliśmy ruszyć już Kseni Burana, gdyż żaden koń nie pozostał dnia tego w stajni.

Z dziwnem uczuciem przechodziłem przez wspaniale przybrane sienie i wschody, przyglądając się licznej drużynie służby przebiegającej dom cały we wszystkich kierunkach.

Ktoby był myślał przed dwoma jeszcze laty, kiedy zdawało się, że z tych cichych starych murów na zawsze już smutek wypędził radość wszelką, w którym lata całe przechodziły dzień po dniu monotonnie, na modlitwie i pobożnych rozmyślaniach, że wesele powróci tu jeszcze, wiodąc za sobą gwar, ruch i życie w całej potędze! Oparłszy się o poręcz wschodów i przyglądając się jak Michał lokaj zakładał grube świece w świeczniki wiszące u wejścia sieni, rozmyślałem właśnie o tem jak na świecie nic nie ma niepodobnego, kiedy wesołe głosy i śmiech na wschodach, wyrwały mnie z mych kontemplacyi filozoficznych.

Podniósłszy głowę zobaczyłem nasze panny, które na górze pomagały Jenerałowej w urządzeniu małego, ustronnego buduaru, przeznaczonego na krótki wypoczynek dla dam pomiędzy tańcami.

Przodem szła panna Skarzyńska trzymając w obu rękach dwa wielkie mozaikowe wazony i bukiet jakichś zielonych egzotycznych gałązek — za nią postępowała Ksenia. Miała na sobie szlafroczek ranny powłóczysty, z białego kaszmiru, przepasany w pasie purpurowym ciężkim sznurem, na głowie niosła wielki kosz napełniony kwitnącemi hijacyntami różnych kolorów i śmiejąc się, z pod swego wonnego ciężaru rzuciła mi wesołe „dzieńdobry".

Patrząc na tę cudną, godną dłuta artysty postać, która jakby na zakończenie mych myśli zjawiła się na wschodach, pomyślałem sobie, że taka istota promienna może mieć moc do robienia cudów nigdy nieprzewidzianych, musi rozsiewać wokoło siebie radość, wesele i uszczęśliwiać wszystkich, którzy się do niej zbliżą.

— Panno Kseniu — zawołałem — rzuć swój kostium przygotowany i nie przebieraj się się wcale. Ukaż się tylko tak jak jesteś w tym rannym stroju i z tym koszem na głowie a przedstawiać już będziesz wybornie jakieś bóstwo dobroczynne, za którego zbliżeniem lody pękają, śniegi topnieją, zieloność pokrywa ziemię i woń zapełnia przestwory!

— Brakłoby mi zawsze jeszcze motyla, któryby pochód mój poprzedzał — odparła dziewczyna wyjmując z kosza bladoróżowy hiacent i wyciągając drobną rączkę z kwiatem w ten sposób jak widujemy zwykle przedstawianą na obrazach wiosnę, wyciągającą swoje kwieciste berło po nad ziemią.

Oboje z panną Skarzyńską patrzeliśmy na tę dziewczynę uroczą prawie z zachwytem.

— Strzeż się, Kseniu!—zawołała nauczycielka— strzeż się, aby bóstwo dobroczynne nie zamieniło się w istotę szkodliwą, złośliwą, siejącą pomiędzy ludźmi nieszczęścia i troski.

— Wstydź się szkaradna! dlaczego każesz mi unieszczęśliwiać, kiedy posiadam moc dawania szczęścia i tego tylko pragnę.

— Posiadasz piękność niebezpieczną i mimo woli możesz być sprawczynią wielu łez i smutków

— Dlaczego w powierzchowności mojej widzisz źródło łez ludzkich a nie szczęścia?

— Uszczęśliwisz jednego, a dziesięciu odbierzesz spokój — śmiejąc się rzekła nauczycielka.

— To trudno! — odparła wesoło dziewczyna — wszystkich uszczęśliwiać nie mogę!—a potem ujmując obiema rękami kosz z kwiatami i z czarującym gestem współżartoblibym schodząc ze wschodów, dodała: — Moje kwiaty mam tylko dla jednego i jednemu oddam je wszystkie!

— Któremużto? — zawołałem za nią żywo.

— Temu, kogo pokocham — odparła niknąc w korytarzu wiodącym do panieńskich pokoi.

Około godziny szóstej było już u nas gwarno i ludno, jak w hotelu. Ze wszystkich pociągów przyjeżdżali goście — panie z kuframi i pudłami, dziarska młodzież sypała się jak z rogu obfitości, a dzwonki sanek, na przemian z trąbkami pocztowemi, dźwięczały przed pałacem bez ustanku.

Z bliższych gości najpierwsza przybyła hrabianka Nina — pozostawiwszy w domu siostrę i siostrzenicę, które później dopiero przybyć miały, a sama zabrawszy Stefana, przyjechała naprzód, jak mówiła, dopomódz w trudach, do jakich głównie sama była pobudką. Było już wtedy około ósmej godziny, i bacząc na mój urząd wicegospodarski pociągnąłem Mirskiego wprost do mego pokoju, gdzie natychmiast zacząłem przerabiać się na frakowego eleganta.

Kiedy ukończywszy toaletę, powróciliśmy na pokoje, w całem dolnem piętrze zastaliśmy tylko jedynego księdza Osowickiego tułającego się w nowej sutannie jak pokutująca dusza po opuszczonych pokojach.

Jenerałowa już od dawna na wyższych piętrach oczekiwała na przyjeżdżających, a panny od południa siedziały zamknięte jak w fortecy w swych pokojach. Korzystając z chwilowej przerwy, poczęliśmy obaj z Mirskim gawędząc przechadzać się po pustych pokojach, i kiedy tak po raz czwarty, czy piąty okrążaliśmy wielką bilardową salę, usłyszeliśmy nagle w sypialni staruszki szybkie kroki i dostrzegłem przez szczelinę drzwi poruszanie się światła.

Domyślając się, że to któraś z panien skończywszy ubranie, dąży do największego w pałacu źwierciadła, zajmującego w buduarze Jenerałowej prawie pół ściany, a ciekawy zobaczyć nareszcie owe kostiumy tak starannie ukrywane, popchnąłem lekko drzwi, a widząc, że to Ksenia najzupełniej już ubrana, pociągnąłem do szpary Stefana.

Dziewczyna stała przed lustrem, pomiędzy dwoma płonącemi świecznikami, w tem samem miejscu gdzie ujrzałem ją owego wieczora w pierwszym balowym stroju — ale jakże dzisiaj była inną! Miała na sobie całkowity i najwierniejszy, choć upiększony i wyidealizowany nieco strój ukraiński, jaki zwykle noszą na święta i praźniki, córki bogatych, starych kozackich rodzin z okolic Pryłucka i Perejasławia. Jedna zapaska z tyłu w szerokie pasy zielone ze srebrem, druga z przodu w żywą kratę purpurową ze złotem, obwijały jej postać niby wyrzeźbioną w marmurze, uwydatniając przecudowne kształty ciała. Koszula batystowa, wyszyta bogato na ramionach srebrem, złotem i koralami, ściągnięta w pasie przewiązką jak krew krasną, spadającą długiemi końcami na wązki, muszlinowy fartuszek, pozwalała podziwiać rysujące się pod nią idealne kontury biustu i spadek ramion niezrównany. Ciężkie koralowe sznury spadające od szyi do pasa, podnosiły jeszcze olśniewający koloryt twarzy i szyi dziewczęcia, a stroju tego barwnego i pełnego wdzięku, dopełniały buty czerwone, podkute podkówkami srebrnemi i zarzucona na ramiona świtka z grubego, ciemnego sukna, od którego pięknie odbijała płowa kosa zapleciona w krasne byndy i bogactwo drobnych polnych kwiatów.

Ubiór ten cały dziwnie przystawał i harmonizował z rodzajem urody Kseni:

— Oh! ciemnobrewa czarnoksiężnico! — szepnąłem mimowiednie patrząc na tę rusałkę i pomyślałem sobie, że gdyby tę krasawicę pokazać teraz na Ukrainie, to nie byłoby kozackiej duszy, którąby przed nią nie padła.

Ale krasawica moja nie myślała w tej chwili o swej urodzie i nie patrzała na nią wcale. Stała przed lustrem ująwszy w obie dłonie poły swej świtki z pochyloną główką i spuszczonemi oczyma i widać było, że odbiegła gdzieś od kostiumów, balu i dźwięków strojonej muzyki, daleko, daleko! Kiedy się zbliżyłem cicho po kobiercu i stanąłem tuż przy niej, zobaczyłem kręcące się w jej oczach dwie łzy duże, które zabłysły na długich rzęsach,

spłynęły po nich drżące i spadły na posadzkę wielkie jak dyamenty.

— Ślicznie pani zaczynasz owę upragnioną zabawę i pierwszy bal w domu ciotki! — ozwałem się nagle.

Podniosła na nas oczy i śmiejąc się przez łzy rzekła:

— Nie śmiejcie się ze mnie panowie, bo kiedy się ujrzałam w tym stroju, zrobiło mi się tak dziwnie... tak dziwnie... Stanęła mi w oczach młodość moja i step Połtawski i ja sama jak w takim oto stroju, wybiegałam na niego, na rosę i słońce co rano. Przypomniało mi się dalej jak moja Warwara szyła mi takie barwne zapaski i świtki, a stary Hordij, widząc z jaką radością przybierałam się w każdą nową szatę, powtarzał mi zawsze: pamiętaj Soniu, choćbyś kiedyś była wielką panią, choćby cię tam przebrano w drogie kitajki i aksamity, kochaj zawsze tę świtkę, w której wyhodowałaś się i wyrosłaś.

— I na intencyą tej świtki nie pożałowałaś pani tych dwóch kosztownych dyamentów, które z öcz twoich wybiegły? — zapytałem żartobliwie.

— Alboż ten strój nie wart tego? — odparła śmiejąc się dziewczyna.—Alboż widzieliście kiedy coś piękniejszego? Zobaczycie, niechno się tylko pokażę na sali—w kąt wszystkie wasze Minerwy, Dyany, Sfinksy i Kleopatry! Gdyby tak jeszcze do tego kozak czarnobrewy — dodała wpółwesoło, półtęsknie, przyglądając się sobie w źwierciadle, gdyby tak mołojeć, w burce na plecach i czapce z kołpakiem krasnym.

Zaledwie to życzenie dziewczęcia wyrzeczonem zostało i echo jego nie przebrzmiało jeszcze w pokoju, gdy w przyległym salonie dały się słyszeć kroki przyśpieszone, drzwi silnie popchnięte otwarły się szeroko i jakby czarodziejską siłą wywołany, do pokuju hardo i buńczucznie wpadł kozak, taki mołojec hoży i czarnobrewy, jakiego właśnie pragnęła Ksenia. Szarawary na nim szerokie, sine, soroczka mereżona, podpasana pasem czerwonym, na głowie barania czapka, a na plecach burka kosmata, odrzucona z prawego ramienia hardo i polotnie.

Moja Ukrainka stanęła jak wryta, jak oczarowana. My obaj ze Stefanem byliśmy tak zdumieni nagłem na żądanie zjawieniem się Ukraińca, że dopiero po chwili, kiedy pierwszy efekt przeminął, poznaliśmy Eugeniusza, który występując od razu w swej roli, zdjąwszy zwolna czapkę z głowy i pokłoniwszy się nią do ziemi wokoło, powitał nas kozaczem: Sława Bohu! a potem zwracając się do nas, począł mówić z ruska po polsku, wybornie naśladując rodzimy akcent Połtawców, odróżniający mieszkańców tej guberni od drugich okolic Ukrainy:

— Jak się tu macie, jak żyjecie, dobrzy ludzie i ty czarnobrewa krasawico?!

Dziewczynie oczy pociemniały, zbliżyła się do Eugeniusza i podejmując od razu ton jego mowy zapytała go tym samym akcentem śpiewnym i przeciągłym:

— A zkąd ty mołojcze czarnobrewy? zkąd stepowy orle sirokryły?

— Od trzynastego porohu! od Chortyci! — odparł Kozak hardo — a ty zkąd zore jasna?

Dziewczyna uśmiechnęła się słodko, pół smutnie.

— Z Ukrainy tut prychożu, syrota bidneńka — rzekła zwolna, a potem naraz rzucając swą rolę i śmiejąc się zawołała: — Zkąd pan wiedziałeś, że takiego właśnie kozaka zapragnę? Zkąd pan wiedziałeś, że trzeba mi go będzie koniecznie do pary, kiedy nie wiedziałeś nawet jaki kostium mieć będę?

Eugeniusz stał przed nią z czapką w ręku.

— Potrafię przeczuć zawsze, czegokolwiek zapragniesz pani w życiu — rzekł półgłośno patrząc na nią głęboko czarnemi oczyma.

Widziałem jak po twarzy Kseni przeszła różowa łuna: nie odpowiedziała ani słowa, tylko spojrzała z pod długich rzęsów dziwnie słodko na stojącego przed sobą mołojca i długą chwilę nie spuszczała zeń oczu. Na szczęście, w tej chwili weszła w pełnej już toalecie panna Skarzyńska i uwaga ogólna zwróciła się cała na bogaty i fantastyczny strój naszej Cerery — a wkrótce też zaczęły powozy zajeżdżać przed ganek jeden po drugim i Jenerałowa przysłała Antoniego, prosząc abyśmy przyszli na górę.

Nie będę tu wdawał się w opisy szczegółowe balu, który, mówiąc nawiasem, udał się świetnie obfitując w bogate i fantazyjne kostiumy, których oprócz zwykłych balowych toalet, narachowałem przy polonezie par przeszło trzydzieści. Mając bardzo wiele zajęcia na głowie i będąc zmuszonym przy mej roli wice gospodarza być wszędzie i mieć bacznie zwrócone oczy na wszystkie strony, nie miałem czasu uważać na to co się dzieje na sali. O ile przecież mogłem dostrzedz, to nasza para Ukraińców znajdowała się ciągle i nierozłącznie przy sobie. Prawda, że do pewnego stopnia usprawiedliwiały ich kostiumy równe, którym zawsze najlepiej i najskładniej było razem, ale takie prawdziwe oblężenie w jakiem malarz trzymał moją faworytkę, nie dopuszczając do niej nikogo i zabierając wszystkie jej tańce na swą wyłączną własność, zdawało mi się zbyteczne. Z wielkiem przytem niezadowoleniem widziałem, że moja Ukrainka rozbawiona i rozradowana niezwykle, nie zdejmowała prawie swych gwiaździstych oczu z twarzy Eugeniusza i tańcząc nawet z kim innym, śledziła z zachwytem dziarską i hardą postać kozaka, który niezaprzeczenie w całem tem gronie barwnem i wesołem, pięknością i oryginalnością zwracał na siebie uwagę.

Około północy, korzystając z trochę wolniejszej chwili, zbliżyłem się do Mirskiego, który jako niekostiumowany i mało tańczący, stał z boku przyglądając się wielkiemu kadrylowi, do którego właśnie różnobarwne i najzabawniej w świecie podobierane zbierały się pary. Zapytałem go, czemu nie tańczy? Odpowiedział mi, że jako niekostiumowany nie chciałby swym frakiem szpecić i psuć ogólnego charakteru zabawy i woli bawić się patrząc na to bogactwo kolorów i fantazyi ludzkiej.

W tej chwili przechodzili obok nas Ksenia z Eugeniuszem, tak zajęci sobą, że nie widzieli nas wcale, choć otarli się o nas prawie. Patrzyliśmy obaj z zajęciem na piękną parę Ukraińców, stojącą do *vis à vis* z jakimś Hiszpanem i Greczynką.

— Jaką zmianę znalazłeś pan wczoraj w Kseni? — zapytałem Stefana.

— Alboż jej sam nie spostrzegasz? — Kiedy przed kilku tygodniami odjeżdżałem ztąd, twarz jej była jeszcze czysta i jasna jak niezapisana karta... tymczasem teraz, zdaje mi się, że dostrzegam już na niej jakieś ślady tajemniczych hieroglifów.

— Nie domyślasz się czyja ręka je kreśli?

— Jedna tylko może je kreślić. Jest nas tu dwóch tylko.

— Jestżeś pewien, że to nie ręka twoja?

— Naturalnie, wiedziałbym o tem — odparł spokojnie.

Smutny i zły patrzyłem na naszą dziewczynkę, której smukła, barwna postać przewijała mi się pomiędzy tańczącymi.

— Co pan wiesz o tym człowieku? — zapytałem po chwili.

— Zapytaj o to gdzieindziej — odparł młody człowiek poważnie. — Jestem tu stroną interesowaną i mógłbym wydać o nim sąd niesprawiedliwy.

— Wiem, że odpowiesz mi sumiennie.

— Nie znam tego człowieka, odparł mi spokojnie. — Widziałem go pierwszy raz na zabawie w domu mej ciotki.

— Słyszałeś co o nim?

— Tak, letkiewicz jest podobno — odrzekł krótko.

— Dlaczego odjeżdżałeś pan wtedy?—rzekłem po chwili z żalem pewnym.

Uśmiechnął się łagodnie, trochę smutnie.

— Miałem wiele interesów na głowie i nie wiedziałem jeszcze wtedy o tem co jest — odparł z prostotą. — Dopiero kiedy znalazłem się sam wśród moich lasów i błót i ta twarz jasna nie schodziła mi z oczu i myśli, przeszkadzając w zajęciach codziennych i pracy, poznałem wtedy stan mój i natychmiast rzuciłem wszystko, aby tu przybyć.

— Tak, teraz, kiedy już może zapóźno — rzekłem markotnie.

— Tak — odpowiedział spokojnie — i mnie się zdaje że trochę za późno. Chociaż gdybym był został, pytanie czyby się to było na co zdało... Umieć się podobać kobiecie, to także specyalność.

— Cóż pan myślisz teraz czynić? — zapytałem po chwili — czy wrócisz na swoje Polesie?

— Wcale nie, pozostanę. Nie myślę tak odrazu ustępować z pola. Będę bywał i oświadczę się przód niż on.

Spojrzałem na młodego człowieka i mimowoli, pomimo usposobienia wcale niewesołego, roześmiałem się.—Jeśli kiedy, to w tej chwili usprawiedliwić musiałem przydomek „Anglika" jaki nadawano mu złośliwie. Wiedział, że moja Ukrainka kocha już prawie innego i najspokojniej przygotowywał się walczyć o nią z człowiekiem kochanym, posiadającym wszelkie warunki za sobą. Powiedziałem mu co myślę. Uśmiechnął się.

— Widzę, zaczynasz pan uważać mnie za oryginała? — rzekł zwolna — przedstawię przecież panu, że posiadam także pewne korzyści. Najpierw, panna Ksenia to taka jeszcze natura prosta i niewinna, że nie wie jeszcze nic o tem, że kocha. Badałem tę rzecz bardzo pilnie i doszedłem do przekonania, że jest to jedna z tych kobiet, które o własnem uczuciu dowiadują się ostatnie. Nadto, dwa serca wierne w koalicyi, to także potęga! kto wie, może nam uda się zwrócić jej uczucie w inną stronę i uchronić od stosunku bliższego z człowiekiem, niedającym kobiecie gwarancyi żadnej.

(*D. c. n.*)

KILKA SŁÓW
o piśmiennictwie i o ruchu umysłowym
W CZECHACH.

Otwarcie uniwersytetu czeskiego jest faktem wielkiej doniosłości dla Czechów. Nie mogło ono nie wywrzeć silnego wrażenia w kołach kobiet myślących, które podzielają radość ogólną, a jako pragnące wiedzy i dobra dla sióstr swoich, zastanawiają się czy mają żądać, aby podwoje uniwersytetu stały otworem dla kobiet i jakie one względem niego stanowisko zająć powinny.

W kwietniowym numerze *Żeńskich Listów*, spotykamy się właśnie z artykułem zajmującym się tą kwestyą. Autorka jego stwierdzając fakt, że we wszystkich krajach przodujących w cywilizacyi, kobiety mają wstęp do uniwersytetu, a takie poważane, jak paryzki, londyński, kambrydzki, nie wahają się przyznawać im praw i stopni akademickich, zapytuje: „czy Czeszki powinny także dopominać się o ten przywilej?"

Ze szczerością i bezstronnością wyższych umysłów odpowiada, że jeszcze nie, gdyż nie są dostatecznie przygotowane do tego, nie posiadają dobrych szkół średnich i nie mają jeszcze dość zamiłowania w nauce, aby się jej z całą korzyścią poświęcić.

„Nie możemy powiedzieć — mówi ona — żeśmy wyczerpały wszystkie środki, jakie posiadamy do rozwoju umysłowego i duchowego i że bez uniwersytetu pójść dalej już nie możemy. Byłoby to kłamstwem. Nie łudźmy się; ogół jeszcze nie czuje potrzeby wiedzy gruntownej; wśród naszej młodzieży żeńskiej tylko jednostki, którym się tembardziej uznanie należy, pragną światła naprawdę i do niego dążą, a te ich usiłowania często na miano bohaterstwa zasługują. Nikt goręciej ode mnie nie pragnie, aby uczęszczanie kobiet czeskich do uniwersytetu stało się koniecznością, uznaną przez ludzi światłych, od których to zależyć będzie, lecz teraz widzę że byłoby to przedwczesnem żądaniem."

Nakłania więc kobiety, a zwłaszcza młode osoby, mogące więcej czasu czytaniu poświęcać, aby postanowiły sobie w roku parę poważnych dzieł kupić i przeczytać, a ta ofiara, jeżeli ją ofiarą nazwać można, sowicie się opłaci. Wiadomości, jakie nabędą, podniosą ich umysł, uszlachetnią serce i nie przeszkodzą bynajmniej aby nie miały pozostać miłemi, skromnemi i pracowitemi dziewicami, gdyż to jest najfałszywsze mniemanie, że uczoność odejmuje wdzięk kobiecie. Prawdziwa wiedza nie wbija w zarozumiałość, nie skrzywia pojęć naszych; im szerszy widnokrąg myśli, tem wyższy poziom moralny.

Obok poważnych książek może zająć miejsce powieść i poezya, tem bezpieczniej, że umysł wykształcony potrafi zapanować nad wyobraźnią i nie tak łatwo ulega szkodliwym wpływom. Kończy autorka gorącem przemówieniem do kobiet czeskich:

„Od was-to, powiada, zależy, panie i panny, abyście szerzyły zamiłowanie do nauk i wiadomości o rzeczach rodzinnych i społecznych, abyście uszlachetniając siebie i otoczenie swoje, wyniosły na jeszcze piękniejsze i wyższe stanowisko, domowe i wychowawcze powołanie swoje, rozwinęły przyrodzone zdolności, dały narodowi pokolenie światłe, zamiłowane w pracy, a w nagrodę nabędziecie przekonania, żeście pomogły do przygotowania gruntu, na którym ma się rozwinąć naukowe życie czeskie i sława jego rozejść po świecie."

Odpowiedni temu artykułowi jest drugi w tychże samych *Żeńskich Listach*, pod tytułem: „Do dziewic i matek czeskich", w którym autor, p. Kodym, rozbiera korzyści jakie dobra książka przynosi, nakłania do czytania książek czeskich, jako najlepiej odpowiadających potrzebom czytelniczek czeskich i namawia do zakładania czytelni i zawiązywania spółek, mających na celu zakupywanie książek i rozdawanie ich pomiędzy członków. Kierujący taką spółką lub czytelnią, czuwa nad wyborem książek, a wspólnemi siłami znaczniejszą ilość zakupić ich można. Ostrzega także przed literaturą, zbrodniami oszustwami i nadzwyczajnościami zaprawioną, która się stała istną plagą i czynnikiem demoralizującym niższe warstwy społeczeństwa.

Z naszej strony nie moglibyśmy dość zalecić Czytelniczkom naszym zajęcie się podobną sprawą, zakładania czytelni ludowych gdzie można, a spółek książkowych w każdej okolicy.

Idea stowarzyszeń działania wspólnemi siłami, słabo jest u nas dotychczas rozwiniętą, chociaż coraz częściej podnoszą ją ludzie, którym środki materyalne nie pozwalają działać na własną rękę. Zresztą sam przykład Zachodu, gdzie taka rozmaitość stowarzyszeń istnieje i coroczne sprawozdania o świetnym ich rozwoju, powinny nas zachęcać do działania w tym kierunku. Każda choćby najdrobniejsza praca, wspólnemi siłami wykonana, staje się doskonalszą i pożyteczniejszą, że rozwija myśl solidarności wśród tych, którzy albo nie śledzą postępu ludzkości i jej potrzeb, albo muszą go widzieć niejako własnemi oczyma.

Twórzmy więc na wzór kobiet czeskich kółka i kółeczka wspólnej pracy i działalności; nie tu miejsce wskazywać jaką ma być ona, zresztą zależy to od okoliczności i potrzeb danej miejscowości, ale możemy przynajmniej zapoznać Czytelniczki nasze z kilku stowarzyszeniami kobiet czeskich.

Mają one trzy główne cele: popieranie pracy kobiecej, pomoc uczącej się młodzieży i kształcenie umysłu kobiet. Nie wszystkie są w możności sprostać temu zadaniu, nie mając dostatecznych środków, ale działalność każdego, choć ograniczona, niemniej jest pożyteczną.

Coraz większy zastęp kobiet zmuszonych do pracy, coraz większa trudność w jej znalezieniu, skłoniło kilka kobiet z głową i sercem, do szukania środków zaradczych przeciwko złemu, które się coraz bardziej szerzyło. Najczynniejszą wśród nich była Karolina Swietla, znana powieściopisarka. Rodzajem okólnika wezwała ona wszystkie kobiety czeskie dobrze myślące, do współdziałania w niesieniu pomocy potrzebującym siostrom. Zaraz w pierwszej chwili tysiąc kobiet się zapisało. Piękna to cyfra i bardzo wymowna!

Z początku był zamiar ułatwiania głównie zbytu wyrobów pracy kobiecej bez pośrednictwa magazynów wyzyskiwujących biedne robotnice, ale gdy roboty tychże były niedokładne i tem samem nie przynoszące dostatecznej korzyści, okazała się potrzeba otworzenia szkoły przemysłowej czyli rzemiosł. Środki na ten cel były bardzo skromne, gdyż dla zachęcenia, wpis członków oznaczony został na jeden złr., a mało kto mógł z większą ofiarą przybyć w pomoc. Ofiarność publiczna i tą razą jednak nie zawiodła; miasto dało lokal, złożono się na stoły, ławki i krzesła. „Każde krzesło było inne — pisze nasza łaskawa korespondentka, — ale nikt tam nie dbał wówczas o elegancyą", szło o wprowadzenie w czyn instytucyi, która miała tak pożądane wydać owoce.

Obok szkoły rzemiosł gdzie uczono: szycia bielizny, krawiectwa, kwiaciarstwa, haftu, drobnych robót kobiecych, rysunku i drzeworytnictwa, powstał wydział handlowy i wydział języków: francuzkiego, niemieckiego i rossyjskiego, a od dwóch lat dodany został czwarty: dozorczyń chorych. Obok tego uczenice mogą się kształcić w naukach zastosowanych do średniego wykształcenia.

Godziny wykładów tak są rozłożone, że uczenice każdego wydziału dwóch języków mogą się jeszcze uczyć, a z wydziału handlowego prac ręcznych. W pierwszym roku uczenic było 253, w dziesięć lat później 513.

Te cyfry świadczą wymownie o powodzeniu szkoły pod każdym względem. W miarę jak się rozwijała, zdobywała sobie coraz większą ufność publiczności, odbierała dary od rozmaitych instytucyi krajowych, subsydya od rządu i samego cesarza. Zapewne, że to nie mało się przyczyniło do jej pomyślnego rozwoju, ale główną zasługę przypisać trzeba ofiarności ogółu, który choć drobnemi datkami, lecz nieustannie podtrzymuje szkołę, oraz poświęceniu się przewodniczących członków, a są niemi jedynie kobiety.

Z latami Spółka rozszerzyła działalność swoją; opiekuje się wszystkiemi potrzebującemi chleba lub pracy. Ubogie dziewczątka pragnące się uczyć, zaopatruje w książki, ubranie i do szkoły wysyła: nauczycielkom wynajduje miejsca, wspiera pracownice wychodzące ze szkoły, do czego głównie pomaga własny sklep Spółki.

Założenie pisma *Żeńskie Listy* jest bardzo pomocnym środkiem do rozwoju stowarzyszenia i do działania na ogół kobiet. Obznajmiajac je z czynnościami Spółki, zamieszczając miesięczne sprawozdania, zwracając nieustannie ich uwagę na wielkie ich obowiązki względem kraju i społeczeństwa, wskazując środki do ich wypełnienia, wytykają wady i ułomności, nawołując wszystkie do kształcenia się duchowego i umysłowego i przedstawia obraz działalności innych kobiet i ich zwycięztwa na polu pracy samodzielnej.

Mając swoją własną drukarnię, Spółka wydaje także książki bardzo tanie, skromne, lecz zawsze przynoszące pewną korzyść i dające pracę kilkunastu kobietom. Spotkaliśmy również drzeworyty w drzeworytni Spółki robione, co daje możność uczenicom w samymże zakładzie robotę znajdować.

Jednak, jak nam pisze pani Krasnohorska, najprędzej zarobek znajdują te, które się uczą szycia bielizny i krawieczczyzny, buchalterkom także się nieźle powodzi.

Prócz Spółki produkcyjnej pracy kobiet, istnieje jeszcze w Pradze: „Stowarzyszenie pomocy dla biednych nauczycielek" i „Zjednoczenie kobiet Ś-tej Elżbiety", mające na celu dopomaganie w kształcenin się młodzieży płci obojej.

Miasta prowincyonalne nie dają się wyprzedzać stolicy, jeżeli nie w środkach to w dążnościach. Kilkanaście kobiet się zbierze czynnych i oto już stowarzyszenie istnieje. Po wzór ustawy udają się zaraz do Spółki produkcyjnej pracy, a członkowie wzrastają i środki zwolna przybywają. W Bernie na Morawii, znajdujemy stowarzyszenie: „Wiosna", mające na celu podtrzymanie ducha narodowego i kształcenie umysłowe kobiet, do czego służą odczyty urządzane dwa razy na tydzień.

„Stowarzyszenie Ś-tej Ludmiły" w Karlinie, zajmujące się głównie dostarczaniem pomocy uczą-

cej się młodzieży płci żeńskiej i opieka nad dziećmi.—Członkowie szyją dla biedniejszych ubrania, które następnie komitet rozdaje.

„Wlastimila” stowarzyszenie wokalno-muzykalne w Protejowie, liczące już dziesięć lat swego istnienia i mające zakres rozległy, obejmuje odczyty i koncerta. Odczyty treści poważnej, rzeczywistą korzyść przynieść mogą słuchaczkom, a koncerta mają na celu zapoznawanie publiczności z utworami kompozytorów narodowych. „Wlastimila” utrzymuje się, ale się uskarża ze smutkiem na małą ilość członków. Widocznie Protejów nie posiada tyle serc gorących i umysłów podniosłych co Praga i inne miasta, rozumiejących całą potęgę stowarzyszeń i dobro jakie ztąd wypływa.

Dalej znane nam są jeszcze stowarzyszenia: „Wlasta” w Ziżkowie i „Pań i panien” w Hermanowie; oba łączą cele dobroczynne z kształceniem się umysłowem. Działanie ich jest wszakże dość ograniczone i członków niewiele posiadają, ale samo tworzenie się takich kółek, jakże pocieszającym jest objawem!

Wątpić niepodobna, że szlachetne usiłowania kilku myślących kobiet, związanych wspólną myślą i wspólnym celem, zbawiennie wpłynąć może na ogół, i że jeżeli w przeciągu lat dziesięciu tyle się im zrobić dało, to przyszłość jeszcze świetniejsze wyda rezultaty.

Aby tem lepiej ocenić działalność kobiet czeskich, trzeba wiedzieć że większość ich posiada wykształcenie mniej niż średnie i z wielką skrzętnością poświęcają się domowemu gospodarstwu. Jeżeli więc udało się pociągnąć do działania tego rodzaju kobiety, jeżeli one pojęły obowiązki jakie mają względem sióstr swoich i siebie samych, czegóż dopiero spodziewać się można po nas Pólkach, o których znakomita Czeszka, pani Eliza Krasnohorska powiedziała: „Gdyby nasze kobiety były tak ukształcone i przejęte duchem poświęcenia jak Pólki, jakżebyśmy już wysoko stały!”

Bardzo to dla nas pochlebne ale... ileżby to kobiet naszych przestało się nudzić, lub zabawiać błahostkami niegodnemi ich zdolnościom i pragnieniom, gdyby w kółku swojem zajęły się przeprowadzeniem jakiej pracy zbiorowej lub jej rozszerzaniem. A tyle, tyle jest do zrobienia: szkółki, ochronki po wsiach, czytelnie po parafiach, spółki książkowe, opieka nad uczącą się młodzieżą, zwłaszcza płci żeńskiej, którą się tak mało u nas zajmują i wiele innych rzeczy czeka tylko wprawnej ręki i dobrej, zacnej woli, aby ożyć, powstać i działać.

Najwybitniejszą dążnością pismiennictwa czeskiego jest obecnie rozbudzenie zamiłowania do mowy rodzinnej. Potężnym do tego środkiem jest „Matica szkolna” zakładająca po wsiach i miasteczkach szkoły. Na korzyść tejże „Maticy szkolnej” wyszła obecnie milutka powiastka „Na bludne ceste” (Na błędnej drodze) Karoliny Swetli, dla ludu przeznaczona.

„Matica szkolna” wydaje także broszurki traktujące o wszystkich ważniejszych kwestyach, a że kosztują po 10 kr., rozchodzą się więc w znacznej ilości pomiędzy ludem, do oświaty którego wiele się przyczyniają.

I tak mamy właśnie przed sobą broszurkę 32-gą mającą na celu uchronienie rzemieślniczej klasy czeskiej od wpływu socyalistów niemieckich i dowodzenie, że kosmopolityzm, w znaczeniu wyrzeczenia się swego języka i swoich obyczajów, byłby rzeczą zgubną.

Broszurka ta pisana trzeźwo, jasno i przekonywająco, jest pióra pani Elizy Krasnohorskiej, z czego widzimy, że kwestye społeczne nietylko że nie są obce kobietom czeskim, lecz bywają przez nie poważnie roztrząsane.

Na dowód, że kobieta może dorównać siłą woli i zdolnościami mężczyznie, brakowało dotychczas Czeszkom kobiety-lekarza, ale obecnie dowiadujemy się, że pani Anna Bayerowa ukończywszy nauki w Bernie, tamże stopień doktora medycyny otrzymała. Powinszować im możemy, lecz nie zadrościć, gdyż już od trzech lat posiadamy w Warszawie panią Tomaszewicz-Dobrską a niebawem obiecują nam przybycie dwóch innych doktorów medycyny rodzaju żeńskiego, z których jeden ma stały zamiar osiedlić się na wsi, dla niesienia ulgi jej mieszkańcom tak często pozbawionym pomocy lekarskiej. Jest to myśl piękna i poczciwa, lecz czas dopiero pokaże czy się da uskutecznić. Zawód lekarza prowincyonalnego, a cóż dopiero wioskowego, jest nader mozolnym i kto wie czy fizyczne siły kobiety będą mogły mu sprostać.

Dodać tu jeszcze musimy, że postępowy kierunek nadany wychowaniu kobiet czeskich, nie przytłumił w nich wcale iskry poezyi i coraz to nowa poetka z mniejszym lub większym talentem na arenę literacką występuje. O Irenie Geisslowej pisaliśmy już poprzednio, a teraz wśród wielu innych, zwrócił naszą uwagę udatny wierszyk Józefy Talskiej „Nesverim vam” (Nie zwierzę wam, lub nie powiem wam) drukowany w „Żeńskich Listach”.

Helena K.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Krótka gramatyka polska, ułożona przez *Wincentego Dawida.* Warszawa—Lublin, 1882 r.

Wiadomość sama, że praca p. Dawida w ciągu lat dwudziestu doczekała się piątego wydania, byłaby już dostateczną rekomendacyą jej, pozwalającą wnosić, że „Krótka gramatyka polska” jest jedną z najlepszych i najpraktyczniejszych. P. Dawid, jako pedagog idący za postępem, przygotowując swą gramatykę do piątego wydania — jak sam to twierdzi, usilnie starał się spostrzeżenia i prace uczonych zastosować do celów praktycznych jakiemi są ortografia i rozwój ogólnych zasad każdej mowy.

Wskutek też tego starał się rozległe i zawikłane prawa naszego języka w jak najprostszym przedstawić zarysie unikając wikłać młody umysł w subtelnościach, zwłaszcza składni, „której z oczytania się i wsłuchania, nie zaś z pisanych prawideł uczymy się.” Nadto p. D., tak co do teoryi, jak o i pisowni, unikał nowych i dziwacznych pomysłów a śledząc mowę ojczystą w znakomitych pisarzach, trzymał się zasady nie klecenia prawideł własnej fantazyi.

Przyznać też należy, że cel zamierzony p. Dawidowi powiódł się jak najzupełniej, tem bardziej, że nie bawiąc się w wywody etymologiczne, ani też nie idąc za przykładem ipsylonistów i jocistów, dał nadzwyczaj przystępną i z całą znajomością rzeczy jak przez wytrawnego gramatyka-pedagoga, traktowany podręcznik, który bezwarunkowo wszystkie inne dotąd używane, zastąpić winien a których wywody, prawidła i t. d. z niesłychaną trudnością utrwalają się w pamięci uczniów.—Jak przeciw układowi całej gramatyki i metodzie wykładu nic do zarzucenia nie mamy, tak pozwalamy sobie zwrócić uwagę na niewłaściwości znajdujące się w germanizmach i tak np. p. Dawid podając jako germanizm: Daj mi widzieć tę książkę — p. Dawid tłomaczy tak: „Lass *mich* dies Buch sehen!”—gdy tymczasem być powinno nie *mich* lecz *mir*, bo mówi się i pisze wedle zasad gramatyki: „gieb *mir* Wasser, Lass *mir* sehen,” (daj mi widzieć), mówiąc zaś: „lass *mich* sehen,” wyrażamy „*pokaż mnie* (*komuś*).” Dalej: kozła zrobić ogrodnikiem, p. Dawid tłomaczy: *Den Bock zum Gaertner setzen* (?), gdy tymczasem po niemiecku mówi się: „Den Bock zum Gaertner *machen*,” lub: *bastellen*,—bo *setzen* znaczy siadać — a nie: robić! „Ciche wody głębokie”, po niemiecku: *Stilla Wasser sind tief*, być zaś powinno: *Stille Gewaesser* i t. d., bo *Wasser* używa się tylko w liczbie pojedyńczej a nigdy w mnogiej, chcąc zas wyrazić wielką ilość różnorodnych wód, jak jezior, rzek i t. d., to Niemiec używa wyrazu: *Gewaesser* Wody.

Nakoniec: „Ranna godzina ma złoto w ustach”, przez Niemców wyrażaną jest: „*Die* Morgenstunde *traegt* Gold im Munde,” a nie jak chce p. Dawid: „Morgenstunde *hat* Gold im Munde.” Te drobne usterki pomijając, nie możemy jak tylko: „Krótką gramatykę polską” p. W. Dawida Czytelniczkom naszym a w szczególności matkom i nauczycielkom, jak najgoręcej polecić.

Kurs geometryi, zastosowany do użytku szkół męzkich i żeńskich. 1. Planimetrya. Warszawa 1882 r. str. I — VIII i 1 — 167.

W przedmowie swej dr. Hertz oświadcza, iż ze względu na okoliczności, że wykłady geometryi, w gimnazyach żeńskich oparte są na metodzie Euklidesa, a w gimnazyach męzkich ściśle trzymają się metody Legendre'a, wskutek czego ani tu ani tam nie ma postępów pożądanych i świetnych rezultatów nauki — gdyż obie te metody są niewłaściwie użyte, przedstawiając wielkie trudności dla uczniów średniego uzdolnienia, postanowił ułożyć krótki podręcznik geometryi, w ktorym obok ścisłości matematycznej, starał się o ile można, dowodzenia uczynić dostępnemi i krótkiemi. Nadto, przy pisaniu tej książki, dr. Hertz miał na uwadze domowe kształcenie i szkoły żeńskie, wskutek czego zastosowaną być może do wykładów w gimnazyach męzkich i żeńskich, tembardziej, że obejmuje całkowity kurs tej nauki. Wydając ten podręcznik dr. Hertz zasłużył się wielce na polu pedagogicznem i dlatego też na pracę jego zwracamy uwagę specyalistów, którzy o wartości tej pracy niech wyrzekną swe bezstronne zdanie, które, o ile sądzić możemy, na korzyść autora wypadnie.

Do nieznajomej, nowowelle, tom pierwszy, przez *Leopolda Méyeta*, nakładem E. Orzeszkowej i S-ki. Wilno 1882 r.

W tomie tym p. Méyet pomieścił sześć nowellek, które po przeczytaniu budzą w nas pytanie — jaki cel miał autor pisząc je?

Jak powiada p Méyet w *niedokończonej przedmowie* „nieznajoma wskazywała mu kartę po karcie księgi wielkiej, niezbadanej, nazwanej: *życiem*”. Dalej zaś: „że zmarnowane uczucia są jak nuta

wrzaskliwa struny życia, zerwanej na zawsze, są osią niewidzialnego i cichego dramatu, który dojrzéć, dosłyszéć i odczuć potrafiłaś Pani nieraz w bezimiennych listach swoich... Na ich kanwie pióro zdolnego pisarza mogłoby wyhaftować wiele pięknych i nieposlednich obrazów — nieudolne, posyła li tylko ten skromny zbiorek nowell." Otóż, wedle naszego zdania, p. Méyet, pisząc te nowelle, za mało widział tych kart wielkiej księgi zwanej: życiem — a i te, które widział, to tylko dorywczo, patrząc nadto na nie przez dziwnie zabarwione okulary, które nie pozwoliły mu na tych kartach doczytać końca tak jak i nowelle jego są bez końca — a raczej pozwalające cierpliwemu i sentymentalnemu czytelnikowi koniec wedle upodobania dośpiewać sobie w duszy. Takie postacie jak Celina, Adam, który „kłaniał się grzecznie ciągle trzymając w rękach ryżowy, czarną wstążką przepasany kapelusz" (str. 11), jak Lola i Gustaw, jak Hania, Stefan, Julja, Lucyan, dalej Konrad, Janina, Ninia, Zygmunt i t. d., mogli się tylko wylęgnąć w chorobliwym stanie fantazyi marzyciela, nieznającego ludzi ze krwi i kości, lecz jakieś istoty również nieznające życia.—Jaki cel miał autor ogłaszając te nowelle, zaprawdę trudno odgadnąć. Czyżby chciał dać nam w nich poznać głęboką znajomość dusz ludzkich? czy może nowelle te mają być uważane jako psychologiczne studya? Słowem przyznać musimy, że tej pracy p. Méyeta nic a nic nie rozumiemy, a mimo żeśmy ją z uwagą i chęcią zrozumienia przeczytali, to wynieśliśmy to przekonanie, że zaprawdę trzeba mieć talent i niepoślednie zdolności, aby napisać coś tak bezbarwnego i bezcelowego jakiemi są Nowelle p. Méyeta, zatytułowane: *Do nieznajomej*.

Inaczej zato przedstawiają się nam:

Poezye *Józefa Stanisława Wierzbickiego*. Warszawa, 1882 r. str. 48.

Tu marzyciel młody dał nam początek poematu: „Historya Konrada" i kilka fragmentów zatytułowanych: „Boleść świata". Tak w niedokończonym poemacie jak i w fragmentach, widnieją nietylko błyski talentu lecz nadto piękne myśli, natchnione głęboką wiarą i miłością.

Skromna to wiązanka utworów ducha poety, który bez szumnych frazesów, wypowiada to co czuje — a tak rzewnie, tak serdecznie, że wraz z poetą odczuwamy jego boleści i cierpienia. Życzymy też p. W., aby nie ustając w pracy, darzył nas częściej i coraz lepszemi utworami, które zapewne licznych i chętnych znajdą czytelników.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Znakomita artystka teatru krakowskiego p. Antonina Hoffmanowa, rozpoczęła szereg gościnnych występów na scenie warszawskiej, rolą księżnej Marlborough w „Szklance wody" Scribego. Postać ta znalazła w p. Hoffmanowej wyborną przedstawicielkę, która nietylko imponowała swoją wdzięczną i dystyngowaną postacią jako wielka lady, ale zadziwiała niepospolitą fineryą i rozumnem traktowaniem całej roli. Krakowska artystka doskonale akcentuje dowcipne zwroty i słowa roli, nie podkreślając ich zbytecznie; trudno także doprowadzić sztukę słuchania do takiego stopnia w jakim posiada ją p. Hoffmanowa. Jednem słowem, jest to artystka wysoce oryginalna, posiadająca swój odrębny styl, który jakkolwiek nie jest jaskrawy i błyskotliwy, ujmuje jednak swą szlachetną i poważną pustotą. Publiczność warszawska ceni wysoko talent tej artystki i darzy ją zawsze swą szczerą sympatyą. Dowodem tego występy jej, zgromadzające tłumnie publiczność i to życzliwe przyjęcie, jakiego nigdy nie skąpi dla p. Hoffmanowej. Gdyby też p. Hoffmanowa, odwdzięczając się w zamian Warszawie, zechciała poświęcić swój talent i pracę wyłącznie naszej scenie! Dla dobra naszego teatru wartoby doprawdy o tem pomyśléć.

Inne role w „Szklance wody" odegrane były bardzo dobrze przez pannę Wisnowską i pp. Ładnowskiego i Wolskiego.—Wystawa bardzo staranna i zaszczytnie świadcząca o rezyseryi p. Tatarkiewicza.

* * *

Nowy Teatr (przy ulicy Królewskiej) wystawił operetkę jednoaktową p. t. „Don Macarade". Rzecz licha i wykonanie liche.

* * *

P. Władysław Szymanowski, utalentowany artysta opuszcza scenę warszawską. Strata to dotkliwa. Jak słyszymy i p. Wolski zamierza także opuścić teatr warszawski. Cóż na to dyrekcya? W sprawie tej pomówimy w przyszłym numerze naszego pisma.

* * *

*** „Wędrowiec" podaje bardzo zajmujące szczegóły o *Polakach w Ameryce*, zaczerpnięte ze sprawozdania misyonarza, który z polecenia swego przełożonego, zwiedzał Chicago.

„W Chicago znajduje się 7 kapłanów, 1 braciszek i trzech aspirantów. Mieszkają w obszernym gmachu zbudowanym przez O. Wincentego Barzyńskiego, z wszelkiemi ulepszeniami nowoczesnemi, jak wodociągi, łaźnie, gaz, koloryfery i t. p. Po za gmachem roztacza się niewielki ale nader starannie utrzymywany ogródek. Obszerny kościół zbudowany jest w stylu romańskim, z kolumnami, z pięknym ołtarzem i wielkiemi organami. W kościele tym nie ma ławek tylko 1,200 krzeseł, a w krypcie jest ich 1,500. Kościół ten wzniesiony pod wezwaniem Św. Stanisława, jest parafią 2,600 rodzin polskich, ale liczba ta ciągle się zwiększa. Obok kościoła są szkoły obejmujące 13 sal, a utrzymywane przez 16 Sióstr N. Panny Maryi, w tej liczbie jest 6 Pólek a oprócz tego 8 polskich nowicyuszek. Nauka języków, angielskiego i polskiego jest tu obowiązującą. Trzeba oddać sprawiedliwość rodzinom polskim, że wszystkie pracują gorliwie i wytrwale; przybywszy do Ameryki były bardzo biedne i niemal marły z głodu, dziś posiadają własne grunta i to w okolicy gdzie za nie drogo płacić trzeba. Ks. Barzyński wyznaczył nauczycielą Polaka, aby wykładał zdolniejszym uczniom język polski i historyę, a trzech z nich wysłał swoim kosztem do Berlina, dla pobierania tam nauk w kolegium polskiem. Jeden z wysłanych jest synem niejakiego Kielbasa (zapewne w ojczyźnie pisał swe nazwisko przez ł) człowieka wzorowego, który był w Izbie reprezentantem swego okręgu, a obecnie jest notaryuszem i kandydatem do senatu z Illinois. Robotnicy miejscy mogą pracą zarobić na chleb i przyodziewek, ale na wsiach tylko dochodzą do zamożności i prawdziwej niepodległości. Uprawiający wytrwale ziemię lub łąki, albo karczujący lasy, mogą śmiało liczyć na to, że w ciągu lat dziesięciu staną się właścicielami kilkuset morgów ziemi, z odpowiednią liczbą bydła. Koloniści polscy łączą się o ile można, mają swoich księży, własne szkoły, a co najważniejsza zachowali język, zwyczaje, charakter a nawet ubiór narodowy."

Posiadamy parę N-rów „Gazety Polskiej" wychodzącej w Chicago, i z tych sądzić możemy, że jej zbawiennemu wpływowi zawdzięczają tam po części rodacy nasi, poczucie swej narodowości i obowiązków.

*** Komitet rzymskiej wystawy powszechnej wystosował do Matejki zaproszenie, aby zechciał zająć się urządzeniem osobnego „oddziału dla sztuki polskiej", nie wiadomo jeszcze czy twórca „Hołdu pruskiego" będzie mógł zadość uczynić wezwaniu.

*** Jeszcze w r. 1859 wypracowany był plan regulacyjny Warszawy i zatwierdzony został przez Komisyę Spraw Wewnętrznych. Częściowo został on już wprowadzony w wykonanie, ale ze względu na szybki wzrost miasta, magistrat uznał potrzebę sporządzenia nowej mapy Warszawy, z oznaczeniem na niej robót miejskich, mających być wykonanemi o ile można najśpieszniej. Wykończenie tej mapy kosztuje około 5,000 rs. i sześć lat pracy. Oto najgłówniejsze zmiany zaznaczone na tym planie przebudowań, przedstawionym już do zatwierdzenia.

Ulica Miodowa ma być przedłużona do Krakowskiego Przedmieścia w linii prostej, co wymagałoby nabycia domu w którym mieści się apteka Kucharzewskiego i drugiego z frontem od Krakowskiego Przedmieścia z jednej i na Kozią z drugiej strony. Zarazem ulica Kozia zostałaby rozszerzoną przez całą długość ogrodów należących do dawnego Pałacu Prymasowskiego.

Ulica Warecka cała zostanie rozszerzona przez zakupienie i zwalenie domów stojących po prawej stronie idąc od Nowego Światu, poczem nowe fronty uregulowane zostaną.

Ulica Oboźna tak gwałtownie domagająca się wyprostowania, zostanie rozszerzoną; zaułek prowadzący z Placu Zamkowego ku Podwalowi, zwany ulicą Ślepą, będzie wyprostowany.

Dalej włączoną ma być do Warszawy część przedmieścia Wolskiego i przestrzeń za rogatką Mokotowską w obrębie miasta leżąca, obecnie nie objęta wałem. Nakoniec, co byłoby najpożądańszem, cały szereg domów dzielący ulicę Ś-to Jańską od Piwnej, ma być zwalony, co utworzyłoby jedną szeroką ulicę, mającą być wysadzoną drzewami. Szkoda tylko, że z powodu braku funduszu, roboty te musiałyby być rozłożone na jakie lat 20, w ciągu których wykonywanoby je stopniowo.

Według objaśnień dołączonych do nowego planu, Warszawa liczy obecnie 288 ulic, których długość wynosi wogóle 140 kilometrów. Liczba posesyi wynosi 4,880, w tem około 900 placów niezabudowanych, 4,554 domów frontowych i kilka tysięcy oficyn. Zakładów fabrycznych, w oddzielnych budynkach, liczy Warszawa 52; dworców dróg żelaznych 6; kościołów katolickich 25; reformowany 1; ewangelicko-augsburski 1; synagogę postępową 1; szpitali 12; gmachów rządowych 72; ogrodów publicznych 6; mosty 3; cmentarzy 5. Ogólna liczba zakładów przemysłowych, wraz z wyż wymienionemi, dochodzi do 316. Wyniesienie Warszawy nad poziom morza, wynosi stóp

319; liczba mieszkańców 383,973 (oprócz 19,000 załogi) w tej liczbie jest 182,853 mężczyzn i 201,120 kobiet, zatem ludność żeńska przewyższa o 19,120 osób.

*** W „Kraju" nowej polskiej gazecie, wychodzącej w Petersburgu, czytamy nieraz zajmujące artykuły, powtarzane z dzienników rossyjskich; do takich między innemi należy artykuł przedrukowany z moskiewskiej gazety „Ruskij Kuryer" napisany z powodu ukazania się „Kraju". Przytaczamy go dosłownie:

„Prawdziwi patryoci rossyjscy, to jest ci którzy względem narodu rossyjskiego są bardzo ludzkimi i pragnącymi jego dobra, aniżeli panowie Katkowy, Aksakowy i cała ich klika — ci zawsze sprawiedliwiej i konsekwentniej zachowywali się wobec polskiej narodowości, wychodząc nie z jakichś tam specyficznych narodowych doktryn o wyższych przymiotach lub niedostatkach tych lub owych ras i narodowości, lecz z ogólniej ludzkiej zasady równego prawa dla wszystkich plemion i narodów, których historya, oświata i cywilizacya idąca na równi z innemi narodami, złożyła dowód ich zdolności do życia i wykazała ich prawo do równouprawnienia. Tak nazwani zachodowcy (zapadniki) nazywani przez swych przeciwników kosmopolitami, a nawet renegatami i odstępcami własnego narodu — dawno już zrozumieli i ocenili znaczenie słowiańskiej Polski, jej praw do życia i postępowego rozwoju, a to nie tylko dla dobra wszystkich słowiańskich narodowości, ale nawet dla całej Europy. Pojąć tego nie umieją i nie chcą tylko rosyjscy fałszywi narodowcy, fałszywi słowianofile, fałszywi patryoci, ci faryzeusze ruskiej ziemi, wygłaszający na wszystkich drogach swoje sofizmata i nienawistne pozory, na których dnie spoczywa nienawiść do całego świata, prawdy i postępu, oraz żądanie ciemnoty, fałszu i niewoli, w której chcieliby pogrążyć nie tylko Polaków lecz także i Rossyan. Nędzna garść energicznych i zręcznych obskurantów, może wprawdzie w pewnych okolicznościach pozostawiać pewien ślad swych działań w życiu społecznem i narodowem, to też działalność pp. Katkowych, Aksakowych et comp. odbiła swe ślady w losach Polski — lecz prawa historycznego życia narodów i trwałość narodowej samoistności Polaków silniejsze są niż nędzne intrygi i usiłowania jakiejkolwiek kliki. Wbrew tej klice, naród polski ze swą przeszłością, swojemi ideałami, kulturą, religią i właściwościami plemiennemi istnieje i istnieć będzie, nie pytając o pozwolenie swych rossyjskich i germańskich wrogów". Tak zapatrując się na sprawę polską „Ruskij Kuryer" przemawia następnie do rozumnej, uczciwej i przezornej prasy rossyjskiej, aby nie lekceważyła żadnego objawu zbliżania się Polaków do narodu rossyjskiego i starała się zacierać ślady nieporozumień i błędów, wywoływanych i podniecanych przez wrogi Polsce obóz prasy rossyjskiej.

*** „Gazeta Krakowska" donosi, że badania architektoniczne nad wnętrzem zamku na Wawelu doprowadziły do nader ciekawych odkryć, odnoszących się mianowicie do *epoki przejścia* między gotykiem a odrodzeniem. Pod grubemi warstwami wapna i tynku, znaleziono bogate i oryginalne ornamentacye do drzwi i okien, rzeźbione w kamieniu, datujące z ostatnich lat panowania Jana Kazimierza Jagiellończyka. Lecz nie same tylko ściany odsłaniają swe wiekowe tajemnice; poszukiwania dokonywane w ziemi, pod murami zewnętrznemi, wydały nader cenne rezultaty. Z gruntu okalającego zamek wydobyto płyty i brusy kamieni rzeźbionych, o rysunku prawie nienaruszonym a bardzo ciekawym, należącym tak do epoki przejścia, zwanej podobno przez [współczesnych pisarzy niemieckich „epoką Jagiellońską" oraz do późniejszej Zygmuntowskiej epoki, czysto renesansowej. Znaleziono także jaskrawe różnobarwne kafelki, pokrywające dach, zanim obito go blachą miedzianą, za panowania Zygmunta III-go (którą Sasi zabrali do Drezna), oraz różnowzorzyste kafle do pieców, o ślicznych kształtach. Korzystać umiejętnie z tych drogocennych zabytków, aby rezydencyi dawnych królów polskich przywrócić stary blask i wspaniałość, odtworzyć wiernie charakterystykę minionych wieków, będzie zadaniem budowniczych mających być powołanymi do restauracyi tego wspaniałego zabytku naszej polskiej chwały. Pomieniona restauracya będzie dokonana kosztem cesarza Franciszka-Józefa.

*** *Zarząd Towarzystwa oświaty ludowej w Krakowie*, przesłał do wszystkich pism polskich następujące pismo:

„Wydział krakowskiego towarzystwa oświaty ludowej, przystępując do zakładania czytelni i bibliotek ludowych, uprasza niniejszem wszystkich pp. księgarzy i wydawców *polskich dziełek ludowych*, aby zechcieli nadesłać wydziałowi po egzemplarzu z każdego swego wydawnictwa pomienionej treści, podając cenę, rabat i inne warunki sprzedaży.

Upraszamy wszystkie pisma polskie o powtórzenie tej odezwy.

Kraków, 18 lipca 1882 r.

Zastępca przewodniczącego w Wydziale,

Dr. Adam Asnyk.

Sekretarz, Dr. W. Dadlez."

*** Krzyż pamiątkowy, zwany „Kugelkreuz" pod Schwechat w okolicy Wiednia, wzniesiony na miejscu w którem nazajutrz po odsieczy wiedeńkiej w r. 1683 spotkał się Jan III Sobieski z cesarzem Leopoldem I, uległ tak wielkiemu zniszczeniu, że pragnąc historyczny ten pomnik uchronić od zupełnej ruiny, centralna komisya konserwacyi zabytków starożytnych, odniosła się do burmistrza wiedeńskiego z prośbą, aby historyczny ten pomnik od zupełnego ochronił upadku.—Nie ma wątpliwości że magistrat wiedeński uczyni zadość temu wezwaniu ksmisyi konserwacyjnej.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania spacerowe.

Suknia z bawetowym stanikiem. Trzy szerokie falbany, zastębnowane w fałdki a u dołu rozrzucające się wolno i oszyte szeroką koronką, przykrywają spódnicę, zakończoną plisowaniem. Stanik bawetowy, z boków krótko podcięty, dopełniony fałdowanem panier; z tyłu upięcie z prostego bryta. Kapelusz biały słomkowy, przybrany piórami i kwiatami.

Suknia z długim stanikiem. Bardzo efektowne przybranie sukni stanowią szlaki drukowane fabrycznie w szeroką girlandę kwiatów, na tle odmiennem od sukni. Spódnicę zdobią dwie plisowane i jedna koronkowa falbana. Tunika otwarta z przodu, z tyłu dopełniona prostym, suto podpiętym brytem, z brzegów oszytym szlakami. Stanik z boków przedłużony w zęby oszyte szlakami, ma z tyłu fałdowane karoczko. Kapotka z kwiatów z rondkiem aksamitnem i końcami do wiązania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 19 Августа 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 35, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

— Nie zdaje mi się aby Łucya była cierpiącą, odpowiedziała na zapytanie mistress Cleeve.

— Musisz to widzieć jednak, Tereso, że jest bardzo mizerna.

— O ile wiem, jest zupełnie zdrowa... Je, pije, ubiera się, wychodzi z domu, przyjmuje gości, słowem nie można wnosić z niczego że jej coś dolega.

— Ona utrzymuje że są to skutki tegorocznych upałów; ale to nie ma sensu... gorąco może zmęczyć i osłabić, ale nie pogrąża nikogo w smutku, nie powoduje jakiegoś przygnębienia.

— Nie dostrzegłam nigdy aby Łucya była smutną i przygnębioną.

— Widać że przy twych rozlicznych zajęciach za domem, nie zwracałaś na nią uwagi, Tereso. Nie przypuszczam, dodała mistress Cleeve zniżając głos, aby pomiędzy nią i mężem przyszło do jakiegoś zajścia, nieporozumienia lub sprzeczki.

— O! pod tym względem możesz być zupełnie spokojną, mistress Cleeve, odpowiedziała trochę cierpko Teresa. Łucya jest tak zaślepiona w mężu, że gdyby mu przyszła ochota pociągnąć ją za jedno ucho, nadstawiłaby mu natychmiast drugie.

— W takim razie nie wiem już co mam przypuszczać, ale jestem pewna że Łucya ukrywa przede mną jakieś fizyczne lub moralne cierpienia.

Teresa tak była zajęta jakąś robotą dla pana Cattacomb że nie chciało jej się zbijać tych przypuszczeń. Mistress Cleeve zawsze niepokoiła się o Łucyę, i Teresa była przekonaną że to jest właściwe wszystkim matkom mającym córki jedynaczki. Na tem więc skończyła się na teraz rozmowa dotycząca Łucyi.

Mistress Cleeve usiadła przy otwartem oknie chcąc się nacieszyć wonią jesiennych kwiatów, a szczególniej rezedy, która kwitła jeszcze tak obficie jak w lecie.

— Kiedy zamierzasz wyjechać ztąd, Tereso? zapytała nagle. Bawisz tu już bardzo długo.

Teresa czuła to aż nazbyt dobrze; domyślała się nawet że sir Karol i Łucya podzielali to zdanie, i tylko przez grzeczność nie dawali jej tego poznać. Rozmyślała często nad tem, gdyż z chęcią pozostałaby na zawsze w Foxwood-Court. Czyż mogła odjechać od swej kaplicy i pana Cattacomb, ale skoro to już uczyniła, wypadało wytrwać do końca.

— Nie zamierzam wyjechać jeszcze tak prędko, odpowiedziała; Łucyi byłoby tu smutno gdybym się oddaliła. Zima nadchodzi, wtedy mając mniej zajęcia za domem, będę mogła poświęcić jej więcej czasu. Czułaby się tu zbyt samotną gdybym ją opuściła a jak wiadomo, miała zawsze usposobienie melancholiczne.

Tak, niepodobna było zaprzeczyć że usposobienie to objawiało się teraz bardzo wyraźnie.

Mistress Cleeve westchnęła głęboko. Chmura unosiła się nad Foxwood-Court i zasępiała niebo nad głową jej córki i zięcia, bo spostrzegła także od razu smutek i niepokój malujący się w twarzy i całej postawie Karola. Gdyby nie stanowcze zaprzeczenie miss Blake, sądziłaby że między nimi zaszło jakieś nieporozumienie. Mistress Cleeve była osobą prostoduszną, z najlepszem sercem, i nie mającą najmniejszej skłonności do posądzania kogoś o coś złego i wglądania w jego postępowanie: teraz jednak postanowiła zwracać baczną uwagę na wszystko co się koło niej działo. Przekonała się wkrótce że mąż i żona rzadko byli razem. Wprawdzie Karol wyjeżdżał niekiedy na spacer z Łucyą, przychodził na obiad i okazywał się wtenczas uprzedzającym dla niej, a jeźli był w domu, gdy przyszedł ktoś z gości, ukazywał się zaraz w salonie; resztę czasu spędzał w swym gabinecie lub poświęcał na samotne przechadzki. Wieczorem prawie zawsze wychodził z domu, i mistress Cleeve widziała raz gdy późno już przechodził przez trawnik, i szedł prosto do furtki, a wrócił dopiero w parę godzin potem, zadawała więc sobie pytanie gdzie mógł bawić tak długo?

Karol był zmuszony bywać w Labiryncie częściej niż przedtem, częściej niż pozwalała na to ostrożność. Pan Moore nie wydał jeszcze wyroku niweczącego wszelkie nadzieje, nie ukrywał jednak że niebezpieczeństwo było bardzo groźne. Adam chudł widocznie, z każdym dniem był mizerniejszym, sam przewidywał że umrze wkrótce, i dla tego też żądał aby Karol odwiedzał go co wieczór. Wszyscy otaczający Adama nie śmieli już spodziewać się aby pozostał z nimi długo, nie można się więc dziwić że Karol zapominając co mu nakazuje ostrożność, starał się jak najczęściej być z bratem, osładzać ostatnie jego chwile.

— Karolu, ukochany mój bracie, wszak przyjdziesz do mnie jutro rano? mówił zwykle sir Adam gdy żegnali się z sobą wieczorem, i trzymał rękę brata dopóki ten nie przyrzekł mu że zastosuje się do jego życzenia.

— Tak, Adamie, jeźli to będzie możliwem.

— Nie poprzestanę na takiej odpowiedzi, chcę stanowczego przyrzeczenia.

— A więc przyrzekam!... przyjdę jeźli tylko nie zajdzie jakaś niepodobna do przezwyciężenia przeszkoda.

Łatwo się domyśleć że dotrzymywał zawsze przyrzeczenia, i że gdyby to było dlań możebnem, spędzałby całe dnie i noce przy łożu brata.

Jakkolwiek droga do Labiryntu była mało uczęszczana, i niekiedy upłynęło pół godziny zanim się ktoś na niej zjawił, Karol zbliżał się tam zawsze bardzo ostrożnie: zwalniał kroku, oglądał się w koło czy kto nie idzie, dzwonił — bo tylko wieczorem sam sobie otwierał, a jeźli dosłyszał czyjeś kroki, przechodził natychmiast na drugą stronę i rozmawiał z panem Smith, i dopiero gdy przechodzień był już daleko, wracał do kraty przy której Anna czekała już na niego, i prędko przesuwał się przez furtkę. Wychodząc zachowywał się równie ostrożnie i dotąd udawało mu się szczęśliwie; ale czyż zawsze tak będzie.

Czas upływał, stan zdrowia Adama ulegał różnym zmianom, już to był bardzo źle, to znów czuł się silniejszy i rzeźwiejszy. Mistress Cleeve bawiła ciągle w Foxwood; nie miała odwagi rozłączyć się z córką.

Pewnego dnia Karol udał się do Labiryntu zaraz po śniadaniu. Adam poprzedniego dnia był tak źle, że pożegnał go z największą obawą. Miał już zadzwonić gdy spostrzegł że Anna odprowadza pana Moore.

Doktor bywał w Labiryncie nie kryjąc się z tem wcale. Ciekawym, pragnącym dowiedzieć się kogo tam leczy, odpowiadał że Hopley'a. Córki jego powtarzały znów innym owieczkom pana Cattacomb to co usłyszały od ojca: stary ogrodnik cierpiał na silną gorączkę reumatyczną, połączoną z innemi jeszcze dolegliwościami, co w tak póżnym już wieku może mieć bardzo smutne następstwa. Prócz tego, na liście pacyenta pana Moore, chory był zapisany jako: „James Hopley, służący mistress Grey.“ Tym sposobem nawet pomocnik pana Moore mógł to przeczytać bezpiecznie, i tylko potwierdzić słowa doktora.

— Jakże się dziś ma? zapytał Karol.

— Lepiej... jak przewidywałem to zresztą, odpowiedział doktor. Zaleciłem jednak aby dziś nie wstawał, i sądzę że na ten raz usłucha mnie, gdyż jest bardzo osłabiony.

— Siły jego zmniejszają się widocznie po każdym przebytym ataku, rzekł z westchnieniem Karol.

— Tak, niestety! nie może być inaczej... Nie bardzo jestem rad z ciążącej na mnie odpowiedzialności, sir Karolu, mówił dalej pan Moore, życzyłbym sobie bardzo usłyszeć zdanie jakiegoś biegłego lekarza.

— Jakże go tu sprowadzić! rzekł Karol.

— Tak, niestety!... byłoby to bardzo trudnem do wykonania... Chciałbym żeby można było przewieść go do Londynu i powierzyć staraniom któregoś z najsławniejszych lekarzy.

— Ja także pragnąłbym gorąco aby to było możliwem, odpowiedział smutno Karol, ale wiesz sam panie Moore, że są to marzenia niepodobne do urzeczywistnienia! Proszę cię, kochany doktorze, zechciej mi odpowiedzieć na jedno pytanie, na które ty sam tylko możesz mi odpowiedzieć...—Czy w razie gdybyśmy mogli zawezwać innych jakich lekarzy, byłaby jakaś pewność... a przynajmniej jakieś prawdopodobieństwo że może odzyskać zdrowie?

— Jeźli mam powiedzieć prawdę, to bardzo o tem wątpię... Jestem przekonany że nikt nie przepisałby mu nic innego nad to co ja mu przepisuję, tylko nie ciążyłaby na mnie tak wielka odpowiedzialność.

Anna Hopley otworzyła bramę, i doktor się oddalił, a Karol wszedł do Labiryntu.

Sir Adam lubił zawsze i we wszystkiem stosować się tylko do swej woli, i po raz pierwszy dopiero zastosował się do przepisu pana Moore, i pozostał w łóżku. Zmienił się bardzo; piękna dawniej twarz jego była teraz blada i wychudła, krótko ostrzyżone włosy posiwiały prawie zupełnie, siwe oczy, niegdyś tak piękne jak Karola, straciły swój blask dawny.

— Wiedziałem że przyjdziesz do mnie, Karolu, i czekałem na ciebie już od świtu.

— Jakże się dziś masz, Adamie?

— Daleko lepiej. Ból ustąpił zupełnie.

— Moore mówił dziś do mnie, że byłoby bardzo dobrze gdybyś mógł udać się do Londynu i zasięgnąć tam rady znakomitszych niż on lekarzy.

— Co za niedorzeczność! zawołał Adam, alboż istnieją na świecie doktorzy którzyby mogli mnie wyleczyć. Cóż pomogli naszemu ojcu ci znakomici lekarze których wzywaliśmy do niego?

Karol milczał, nie umiał znaléźć na to odpowiedzi.

— Siadaj, stary mój druhu, i powiedz mi coś nowego. Czy przyniosłeś mi jaką gazetę?

— Gazety nie przyszły jeszcze, odpowiedział Karol przysuwając sobie krzesło.

— Mazgaje! powinniby je przysłać już dawno. Wiesz co Karolu? wolę wstać z łóżka.

— Ah! nie, Adamie... odpocznij choć dzień jeden, Moore zalecał to tak usilnie.

— Dobry to człowiek... ale bardzo marudny! Nie potrafi mię skłonić abym pozostał w łóżku skoro mam ochotę wstać z niego!... Po co mam leżéć? znam przecie lepiej od niego moje własne siły!... Choćbym tak leżał cały miesiąc, nie przedłużyłoby to mego życia ani o jedną minutę.

Może miał słuszność, ale i w przeciwnym razie trudno byłoby nakłonić Adama do zmiany raz powziętego postanowienia.

— Jakieś dawne przysłowie mówi coś o życiu krótkiem ale wesołem; musisz przyznać Karolu, że moje od pewnego czasu nie było zbyt wesołe.

— Czemuż nie w naszej jest mocy przywrócić ci spokojność i zdrowie!...

— Wierzę... a jednak powtarzają nam ciągle że wszystko przychodzi w porę na tym świecie. Wiesz, Karolu, często zadaję sobie pytanie, czy ta choroba rozwinęłaby się tak prędko, gdybym prowadził życie tak przyjemne jak twoje.

— Życie przyjemne!—Serce Karola zadrżało boleśnie gdy usłyszał te słowa, które zabrzmiały w jego uszach jak gorzkie szyderstwo. Bóg tylko jeden znał jego troski i cierpienia.

— Parę dni temu, wyciągnąłem pana Moore na słówka, mówił dalej sir Adam, korzystając z nieobecności żony która przesadzała kwiaty. Róża jest dobrą ogrodniczką, Karolu.

— Tak, wiem że lubi kwiaty i umie je pielęgnować.

— Przypominasz sobie zapewne że stanowiło to dawniej główne jej zajęcie. Ale wróćmy do rzeczy; mówiłem ci że udało mi się wyciągnąć pana Moore na słówko, zachodząc to z tej to z owej strony, dowiedziałem się nakoniec, że przyniosłem z sobą na świat zaród tej choroby, i że musiałaby się rozwinąć prędzej czy później... była to jedynie kwestya czasu. Ja sam domyślałem się tego już dawno... tylko nie przypuszczałem wcale że pośpieszę tak prędko za moim synkiem.

— To też prawdopodobnie zostaniesz długo jeszcze z nami Adamie. Nie jest bynajmniej niepodobnem abyś odzyskał zdrowie; Moore nigdy tego nie powiedział.

— Tak, ale sam wiesz że tak myśli.

Karol wyraził tu rzeczywiste swoje zdanie, jeszcze nie stracił zupełnie nadziei, tylko według niego, możnaby więcej daleko rachować na to że Adam odzyskał zdrowie, gdyby go można było zawieźć do Londynu i powierzyć staraniom jakiegoś biegłego specyalisty.

— Czy będziesz nosił po mnie żałobę, Karolu? Nie, wszak prawda? byłoby to próżne narażanie się na niebezpieczeństwo. O! co do mnie bynajmniej nie życzę sobie aby nie tylko za mego życia ale i po śmierci mojej dowiedziano się że jestem Adamem Andinnian! Tobie także nie byłoby przyjemnie powiedziéć ludziom: „Chodzę w żałobie po tym niedobrym bracie moim, Adamie.

W jakimże usposobieniu umysłu znajdował się tego dnia sir Adam Andinnian? Karol wpatrywał się w niego bacznie chcąc poznać czy to był tylko żart wywołany chęcią okazania że śmierć go nie przestrasza, lub też mimowolne wypowiedzenie tego co mu ciężyło na sercu.

— Cicho, Adamie; nie godzi się tak mówić. Jest to niewłaściwy temat do żartów.

— I cóż powiedziałem tak zdrożnego? zawołał Adam prawie ze śmiechem — że może będziesz zmuszony nosić po mnie żałobę?... wielka rzecz! Zdaje mi się że to jest rzeczą bardzo naturalną aby starszy usuwał się ze świata pierwej od młodszego... a zresztą, takim ładnym chłopcom, jak ty Karolu, bardzo ładnie w czarnym kolorze.

— Mam nadzieję że nie tak prędko jeszcze włożę po tobie żałobę, rzekł Karol, widząc że napróżno starałby się skłonić brata do obrania innego przedmiotu rozmowy.

— Załóżmy się że nastąpi to jeszcze przed nowym rokiem.

— Adamie, mówisz same szaleństwa!...

— Czy naprawdę są to tylko niedorzeczne przypuszczenia?

— Czemu upierasz się koniecznie mówić o tem?

— Może skłania mnie do tego potrzeba jakiejś zmiany, bo noc dzisiejsza była dla mnie bardzo uroczysta, Karolu. Nie wiem czy to było na jawie czy we śnie... prawdopodobnie byłem pogrążony w jakimś półsennem marzeniu... dość iż zdawało mi się że jestem otoczony aniołami. Widzę ich w tej chwili jeszcze zupełnie tak jak mi się w nocy ukazali... otaczali tłumnie moje łóżko... Otóż, Karolu, skoro komuś zaczynają ukazywać się aniołowie, a nie umie sobie zdać sprawy czy to sen czy rzeczywistość, jest to, jak mówią, przepowiednią, że wkrótce połączy się z niemi.

Adam zasnął w końcu rozmawiając, i spał spokojnie jak dziecko. Karol wyszedł na palcach z pokoju i udał się do oranżeryi, wiedząc że tam znajdzie Różę. Promienie słońca padające na jej śliczne włosy, nadawały im blask złoca, zwróciła ku niemu twarz bladą, wyrażającą głęboki smutek.

— Wiedziałam że jesteś przy nim, Karolu, i dla tego nie wróciłam. Bardzo dziś zmieniony... wszak prawda?

— Tak... bardzo. Śpi teraz.

— Śpi!... wśród dnia!

— Zdaje się że nie mógł spać w nocy.

— Czy sądzisz że możemy jeszcze miéć jakąś nadzieję? zapytała z taką boleścią jakby sama straciła ją już zupełnie.

— Nie wiem, Różo... Pan Moore nie powiedział tego że Adam już żyć nie może.

— Może zataił to nie chcąc wydzierać nam ostatniej iskierki nadziei... Ale ja widzę teraz jasno co mnie czeka... przewiduję jakie spotka mnie nieszczęście... nie obawiaj się więc mówić ze mną otwarcie. Prawda nie może wywrzéć na mnie tak strasznego wrażenia, jakie musiałaby wywrzéć gdybyśmy się znajdowali w szczęśliwszem położeniu.

— Mówię z tobą zupełnie szczerze, Różo.

— Moja dziecina już mnie opuściła... mąż opuści mnie wkrótce... najdrożsi moi pójdą do lepszego niżeli nasz świata, a ja będę wieść smutne i samotne życie, oczekując z utęsknieniem chwili która mnie z nimi połączy. Gdyby ktoś sześć miesięcy temu, powiedział mi że Adam wkrótce zakończy życie, zdaje mi się że popchnęłoby mnie to do bezgranicznej rozpaczy; ale wszystko cośmy przeszli w ciągu tych kilku ostatnich tygodni, gorączkowy niepokój Adama, obawa o niego dręcząca mnie bezprzestannie we dnie i w nocy, pogodziły mnie z myślą o śmierci!... przekonaliśmy się oboje że nie jest to jeszcze najtrudniejszem do przetrwania nieszczęściem. Nie lepiejże spocząć spokojnie w grobie niżeli żyć w ciągłym niepokoju i trwodze? Każda upływająca minuta równa się konaniu, bo następna może sprowadzić strażników z wyspy Portland, przychodzących po swego więźnia! Cóż dziwnego że takie życie zabija biednego Adama!...

Karol nie zdołał tym razem wysunąć się niepostrzeżenie z Labiryntu. Anna włożyła klucz w zamek, poczem jak zwykle przysłuchiwali się czy nie dojdzie ich szelest czyich kroków. Nie usłyszeli nic prócz głośnego świergotania dwóch bijących się z sobą wróbli. Anna uchyliła bramę, Karol wybiegł... i o mało nie potrącił mistress Cleeve i Teresy. Stały już czas jakiś przy płocie przyglądając się walce wróbli i dla tego nie słyszeli odgłosu ich kroków. Czy to wskutek obawy aby z tego spotkania nie wynikło nowe niebezpieczeństwo dla Adama, czy też wskutek nerwowego usposobienia Karola, dość że wszystka krew jego zbiegła się nagle do serca; nie stracił jednak przytomności umysłu.

— Widzę że panie chcą być świadkami pojedynku, rzekł wesoło. Nie tylko ludzie ale i ptaki podlegają różnym namiętnościom... Hola! szkaradne złośniki, dajcie pokój swoim głowom!... Nie upiększycie je wyskubując z nich pióra.

Jeden z ptaków uleciał na drzewo jakby uznawał słuszność tej uwagi, a wkrótce potem i drugi poszedł za jego przykładem. Karol rozmawiał parę minut z paniami, które następnie udały się na dalszą przechadzkę, on zaś wrócił do domu. Mistress Cleeve odchodząc rzuciła badawcze spojrzenie na bramę Labiryntu.

— Czy tam jeszcze mieszkają też same osoby co dawniej, Tereso? Jakaś mistress Grey, o ile sobie przypominam.

— O! tak!... taż sama, odpowiedziała pogardliwie miss Blake. Przy końcu lata urodziło jej się dziecię, które niedawno umarło.

— Dziecię!... jak to być może?... wszak była to młoda wdowa? A! nie... teraz przypominam sobie... mąż udał się w jakąś daleką podróż... Czy już powrócił?

— Czy wrócił?... sądzę że nie doczeka się nigdy jego powrotu, rzekła znów miss Blake. Ona tak samo ma męża jak ja, mistress Cleeve.

— Jakto! co mówisz Tereso? zawołała mistress Cleeve, zadziwiona zarówno temi słowami jak i wyrazem głosu z jakim zostały wypowiedziane.

— Pewnego dnia... zupełnie przypadkiem... słyszałam jak śpiewała znaną balladę: „Skoro tkliwa i piękna kobieta, odda komuś całe swe serce...” biedaczka opiewała swe własne dzieje.

— Czy być może! zawołała mistress Cleeve... ale... ale dla czegóż w takim razie bywa tam sir Karol!

— Sir Karol?... o!... jako właściciel... Labiryntu.

Było tyle uszczypliwości w jej głosie gdy to mówiła, że twarz mistress Cleeve oblała się rumieńcem; najprzykrzejsze myśli zaczynały cisnąć się do jej głowy.

— Co chcesz dać przez to do zrozumienia, Tereso? zawołała przestraszona. Czy twoje słowa mają jakieś ukryte znaczenie?

Prawdopodobnie miss Blake nie potrafiłaby się oprzéć pokusie oskarżenia Karola, gdyby jej oczy nie spotkały się przypadkiem z oczami pana Smith; który stał przy furtce i ukłonił się z jakąś niezwykłą powagą gdy miss Blake spojrzała na niego. Cóś nakazującego w spojrzeniu i postawie pana Smith, a może i tożsamość miejsca i przedmiotu rozmowy, przypomniały Teresie jaką udzielił jej przestrogę kilka miesięcy temu. Stanęła jej nagle przed oczy ma Joanna Shore, całun, zapalona świeca i wszystkie inne akcesorya, a kara jaką poniosła ta nieszczęśliwa, wydawała jej się i teraz bardzo ciężką. Lepiej, pomyślała, nie narażać się na niebezpieczeństwo, choćby prawie nieprawdopodobne i postanowienie to odbiło się zaraz w jej odpowiedzi.

— Jeźli mam powiedziéć prawdę, to nie wiem nic pewnego o tej pani, nie zapuszczaj się więc w jakieś przypuszczenia, mistress Cleeve. Jest lokatorką sir Karola, i nic więcej.

— Ale jeźli w postępowaniu tej pani jest cóś nagannego, to podobne sąsiedztwo byłoby niewłaściwe dla Foxwood-Court.

— O! prowadzi bardzo odosobnione życie.

— Podobno jest bardzo ładna.

— Piękna jak anioł.

Na tem skończyła się rozmowa, ale w umyśle mistress Cleeve pozostało po niej przykre wrażenie, połączone z niepokojem; nie mogła zapomniéć dziwnie znaczącego tonu jej głosu gdy zaczęła rozmowę, ani też nagłej zmiany jaka potem nastąpiła.

Gdy tegoż samego dnia wieczorem Karol wyszedł do parku, mistress Cleeve okryła się ciepłym szalem i pośpieszyła za nim. Podał jej rękę. Gwiazdy zaczynały już błyszczéć na niebie.

— Chcę powierzyć ci, sir Karolu, plan, jaki ułożyłam sobie i prosić abyś się nie sprzeciwiał jego wykonaniu. Nie uszło to zapewnie twej uwagi że Łucya jest bardzo mizerna?

— Tak, widzę to już od pewnego czasu.

— Chciałam już dawniej pomówić z tobą o tem, ale Łucya tak nie lubi gdy uczynię jakąś wzmiankę dotyczącą jej zdrowia... utrzymuje zaraz że jest zupełnie zdrowa, że tylko wmawiam w nią jakąś chorobę... Powiedz mi jak ona się ma rzeczywiście?

— Nie uskarża się nigdy na nic, odpowiedział ubolewając w duszy nad tem, że nie może powiedzieć o stanie zdrowia żony nic więcej nad to co wszyscy wiedzą.

— Otóż, sir karolu, pragnę aby Łucya pojechała ze mną do Londynu i poradziła się któregoś z dobrych doktorów.

— Czy zamierzasz odjechać już, mistress Cleeve?

— Nie tak zaraz jeszcze... ale odjeżdżając chciałabym zabrać ją z sobą. Uważam to za rzecz tak niezbędną aby zasięgnęła rady jakiegoś biegłego lekarza, że inaczej obawiałabym się powrócić do domu, pozostawiając ją w tak niepokojącym stanie zdrowia. Sądzę że nie zechcesz się temu opierać?

— Bynajmniej. Zdaje mi się że Łucya nie potrzebuje pomocy lekarza, ale ponieważ zmiana powietrza i otoczenia może korzystnie na nią oddziałać, zgadzam się na to chętnie aby pojechała z tobą mistress Cleeve.

— Dziękuję. Teraz kiedy już otrzymałam twoje zezwolenie, będę mogła śmielej nalegać na Łucyę, która obstaje przy tem że nie potrzebuje radzić się doktorów i nie ma chęci jechać do Londynu..; pomimo to, gdybym nie wiedziała z pewnością że nikt jeszcze w naszej rodzinie nie skończył na suchoty, byłabym przekonana że moja biedna córka została niemi dotknięta.

Karol milczał. Wiedział jak dziwne i niepojęte dla niego wrażenie sprawiła na Łucyi wiadomość że brat jego żyje, oraz że to jest główną przyczyną jej smutku; ale nie mógł tego powiedzieć.

— Jest to prawie powodem oziębłości ze strony Łucyi że nie życzy sobie jechać do Londynu, gdyż bardzo dawno nie widziała ciotki, mówiła dalej mistress Cleeve. Tylko że jak mi się zdaje, zobojętniała także na wszystko... jej wesołość jest tylko wymuszoną.

— Czy zamierzasz zabawić jeszcze czas jakiś u lady Southall, mistress Cleeve?

— O! bez wątpienia. Pozostanę tam dopóki Łucya nie odjedzie. Posiadając twoje upoważnienie, będę nalegać energicznie aby pojechała ze mną. Chciałabym abyś pojechał z nami, sir Karolu, sprawiłbyś tem prawdziwą przyjemność mojej siostrze.

Niepodobna było Karolowi myśléć o wyjeździe, w chwili gdy brat jego był tak niebezpiecznie chory, ale cieszyło go to bardzo że Łucya oddali się na czas jakiś, gdyż w jej nieobecności będzie daleko swobodniejszym. Łucya okazywała zawsze tak głęboką niechęć dla mieszkańców Labiryntu, że Karol szedł tam zawsze z usposobieniem studenta wykradającego się gdzieś cichaczem.

— Na nieszczęście, nie mogę wyjechać w tym czasie, odpowiedział, ale zechciej, mistress Cleeve zapewnić lady Southall, że z prawdziwą przyjemnością będę korzystał z pierwszej sposobności złożenia jej mego uszanowania.

— Czy naprawdę jesteś tak zajętym że nie możesz nam poświęcić nawet paru dni?

— Bardzo dużo czasu zabiera mi porządkowanie papierów po stryju moim sir Józefie, i wolę nie odrywać się od tego zmudnego zajęcia aby ukończyć je jak najprędzej, odpowiedział chcąc się wytłomaczyć i było w tem trochę prawdy, gdyż ciągłe kłopoty nie dozwoliły mu skończyć tej roboty.

— To może przynajmniej przyjedziesz po Łucyę, jak będzie miała wrócić?

— O! z pewnością.

Szli w milczeniu do końca ulicy; Karol zatopiony jak zwykle w smutnych myślach, mistress Cleeve rozmyślając nad tem w jaki sposób ma zadać mu jedno jeszcze pytanie.

— Śliczny dziś mamy wieczór, odezwał się nakoniec Karol. Nie znać wcale że to już środek jesieni.

— Rzeczywiście... jednak znać już na żywopłotach że zima się zbliża; zwróciłam na to uwagę Teresy, gdy dziś rano wyszłyśmy na przechadzkę. Ale!... wszak to z Labiryntu wychodziłeś dziś rano gdy spotkałyśmy się z tobą?

Karol nie mógł temu zaprzeczyć.

— Czy ta młoda pani mieszka tam zawsze zupełnie sama?

— Z dwojgiem służących.

— Tak... ale czy mąż...

— Pan Grey jest zmuszony odbywać częste i długie podróże.

— Jestem zmuszona, sir Karolu, zadać ci jedno pytanie, które już od kilku minut nasuwa mi się na usta, rzekła mistresss Cleeve zdobywając się na odwagę: czy nie ma jakich powodów dozwalających wnosić, że ta młoda kobieta nie jest... nie jest tem czem być powinna?

— Jakto, co przez to rozumiesz, mistress Cleeve? zapytał Karol zdumiony. Czy to pytanie dotycze mistress Grey?

— Pomimowolnie nasuwają nam się pewne posądzenia co do prowadzenia się kobiety tak młodej i pięknej, a wiodącej tak dziwaczne i odludne życie, odpowiedziała mistress Cleeve, chcąc okazać że podejrzenia jej są poniekąd uzasadnione.

— Sądzę przeciwnie, że już to samo iż prowadzi tak samotne życie, powinnoby ją uchronić od podobnego posądzenia, odrzekł Karol z żywością. Jest to najlepsza i najgodniejsza poszanowania kobieta!

— Czy jesteś tego pewnym?

— Tak, najzupełniej!... nie podpada to dla mnie żadnej wątpliwości... możesz się spuścić na moje słowo, droga mistress Cleeve. Nawet Łucya nie jest od niej zacniejszą i niewinniejszą, dodał ściskając z uniesieniem ręce mistress Cleeve, dla dodania więcej siły swemu zapewnieniu. Ta biedna mistress Grey przebyła już ciężkie, bardzo ciężkie próby, można powiedzieć że życie upływa jej w ciągłych udręczeniach! Jednak jest zawsze łagodną i cierpliwą, i umie znosić swe nieszczęścia z zupełnem poddaniem się woli boskiej.

Mistress Cleeve ścisnęła rękę Karola, czuła że mówi szczerze, z głębokiem przekonaniem, i podejrzenia jej znikły zupełnie.

— Cieszy mnie że dowiedziałam się tego, i mam nadzieję że przebaczycie mi oboje niedorzeczne moje przypuszczenia. Wszak odwiedzasz ją niekiedy?

— Tak, skoro tylko sądzę że mogę jej być w czem użytecznym. Mąż jej był moim najlepszym przyjacielem i przez życzliwość dla niego bywam w Labiryncie.

— Dla czego nie mieszka z żoną?

— Nie zawsze możemy, na nieszczęście, czynić tak jakbyśmy pragnęli! Obecnie stan jego zdrowia jest bardzo zatrważający.

— Mówiono mi że niedawno straciła dziecię.

— Tak. Była to dla nich obojga bardzo ciężka i bolesna strata.

Odgłos dzwonka wzywającego na obiad nie dozwolił mistress Cleeve zadawać więcej pytań: Łatwo się domyśléć że Karol korzystając z tego odprowadził ją natychmiast do domu.

XX.

Jutrzenka.

Życie upływało cicho i spokojnie mieszkańcom Foxwoodu. Zima się zbliżała.

Mistress Cleeve wyjechała z córką do Londynu, miss Blake pozostała w Foxwood-Court. Osoba lękliwa, obawiająca się plotek, nie zechciałaby może pozostać sam na sam z człowiekiem tak młodym i pięknym jak sir Karol, ale miss Blake nie była tak drażliwą aby mogła zważać na podobne drobnostki. Zajmowała się zawsze równie gorliwie swą kaplicą, co jednak nie przeszkadzało jej zwracać bacznej uwagi na Labirynt i postępowanie Karola. Bywał teraz bardzo często u brata zarówno w dzień jak wieczorem, i Teresa zadawała sobie pytanie, jak długo jeszcze sąsiedzi pozostaną dość ślepymi aby nie dostrzedz rzeczy tak bijącej w oczy?

W nocy był dość silny przymrozek, ale poranne słońce zniweczyło jego ślady, a w południe dogrzewało nawet dość silnie. Adam już od kilku dni nie miał silniejszego ataku, ale nikł prawie w oczach, co było jedyną oznaką zatrważającego stanu jego zdrowia, gdyż w chwilach wolnych od cierpień, siłą woli przemagał osłabienie i przez to zdawał się rzeźwiejszym niż był w istocie.

Gdy Karol tego dnia przybył do Labiryntu, za-

stał Różę przy kłąbie kwiatów, rozmawiającą z Hopley'em; stary ogrodnik przekopywał ziemię.

— Jakże jesteś nierozważnym, Adamie! zawołał, zbliżając się do nich Karol. Przyrzekłeś mi że nie weźmiesz już w rękę rydla i nie będziesz się zajmował żadną cięższą robotą. Nie masz już do tego siły... zaszkodzisz sobie.

— Posłuchaj go tylko, Różo! Przestałby chyba być sobą, gdyby nie gderał na mnie o wszystko. Powiedz mi, kochany mój bracie, na kogo ty będziesz zrzędził skoro mnie już nie będzie?

Czy to mówił Hopley, czy też Adam? Zapadłe usta, niewyraźna mowa, garb, bluza, czerwony wełniany szalik i wielki słomiany kapelusz, kazały wnosić że Hopley, ale oczy i sposób wysłowienia dozwalały się domyślać że to Adam.

Tak, Hopley i Adam byli jedną i tąż samą osobą; sir Adam przybierał tylko na siebie postać schorowanego starca, i dzięki wypchanym sztucznie kolanom i fałszywemu garbowi, zdołał oszukać wszystkich, nie wyłączając przebiegłego ajenta policyi pana Tatton. Może nie udałoby mu się to tak łatwo gdyby ten ostatni poszukiwał sir Adama Andinnian, lub też znał go dawniej, ale głuchy Hopley nie przypominał niczem Filipa Saltera, tak więc raz przekonawszy się o tem, pan Tatton nie widział potrzeby zwracać baczniejszej uwagi na starego ogrodnika.

Czytelnicy przypominają sobie zapewnie, że mistress Andinnian w czasie pobytu swego w Weymouth, przyjmowała u siebie potajemnie strażnika więzienia z wyspy Portland. Czyniła to w celu obmyślenia wraz z nim planu ucieczki Adama. Był to James Hopley, mąż Anny. Gdy strzelano do uciekających, zabitym został drugi więzień, nazwiskiem Cole, i jego też zwłoki przywieziono do Foxwood i pochowano w grobie rodziny Andinnian, na wiejskim cmentarzu. Hopley utonął.

W tym czasie Filip Smith przebywał także w więzieniu portlandzkiem, tylko że nie jako więzień, gdyż nie popełnił nigdy ważniejszego przekroczenia, lecz dla wyrobienia sobie jakiejś posady za pośrednictwem jednego z wyższych dozorców, niejakiego O'Brian swego przyjaciela. Skoro odkryto oszustwa Filipa Salter, Filip Smith został pozbawionym wszelkich środków utrzymania. Niepodobna mu było znaleźć jakiejbądź posady. Człowiek w tak przykrem położeniu nie może być wymagającym, dla tego też Smith starał się o miejsce strażnika. Oczekiwał właśnie na tę posadę, używany w razie potrzeby jako pomocnik, gdy nastąpiła ucieczka Adama i drugiego jeszcze więźnia. W łodzi ścigającej zbiegów, znajdował się Smith z Hopley'em i O'Brian'em Sir Adam ugodzony kulą już na wybrzeżu Weymouth, padł jak martwy; O'Brian widząc że leży na ziemi nieruchomy, sądził że został zabitym, a jednocześnie prawie otrzymał sam raz tak silny że stracił przytomność — gdyż noc była tak ciemna że ścigający nie zawsze mogli odróżnić swoich od zbiegów — i wtenczas to Smith uniósł Adama z placu bitwy i ukrył w bezpiecznem miejscu. Prawdopodobnie Filip Smith przewidywał już w tej chwili, że ocalenie sir Adama sprowadzi bardzo korzystną zmianę w jego położeniu. O'Brian przekonany że Adam został zabitym, zawiadomił wyższą władzę o jego śmierci, a ponieważ zmarły przestaje być więźniem, wydano bez żadnych trudności zwłoki sir Adama jego przyjaciołom. Pokryte ranami i strasznie zeszpecone ciało Cole'a, któremu kula rozsadziła czaszkę i twarz poszarpała, uważano za zwłoki Adama.

Sir Adam ciężko ranny, pozostawał przez kilka dni w ukryciu. Smith pełnił też same co dawniej obowiązki w więzieniu, układając w myśli dalsze plany, i odwiedzając od czasu do czasu Adama. Gdy już chory odzyskał o tyle siły że mógł podnieść się z łóżka, przewieziono go do Londynu i ukryto w domku najętym zawczasu przez Smith'a, gdzie następnie przybyła także Róża z Anną Hopley, która pomimo nieszczęścia jakie ją spotkało, pozostała wierną sir Adamowi. Smith obmyślał wszystko i czuwał nad nimi; opuścił Portland pod pozorem kalectwa — gdyż i on także został ranionym w rękę w ciągu tej nieszczęsnej nocy, i według zdania lekarza, nie miał już nigdy odzyskać w niej zupełnej władzy. Władza więzienna musiała uznać słuszność podobnej wymówki; Smith pozostał w przyjaznych stosunkach z O'Brian'nem, pisywali do siebie, i tym sposobem otrzymywał niekiedy potrzebne mu wiadomości. Od tej chwili zajął się wyłącznie sir Adamem: on to przewoził listy Adama i mistress Andinnian, ponieważ obawiali się pisywać do siebie przez pocztę; on uwiadomił mistress Andinnian o małżeństwie syna z Różą Turner; on nakoniec czuwał nad przewiezieniem Adama do Labiryntu, i dostarczył mu stosownego ubrania do roli jaką miał nadal odgrywać. Musimy jednak nadmienić, dla usprawiedliwienia pana Smith, że był bardzo przeciwnym osiedleniu się Adama w Labiryncie, ale zarówno on jak mistress Andinnian tak silnie przytem obstawali, że w końcu był zmuszonym ustąpić. Adam i Róża mieszkali w Londynie pod przybranem nazwiskiem Grey, które też Róża zachowała następnie.

Adam otrzymał kilka ran, a jedną z nich w twarz która pozbawiła go przednich zębów. Odzyskawszy siły, udał się do biegłego choć mało znanego dentysty, nazwiskiem Bennet, który mu wprawił cały rząd; Adam obstalował dwa jednocześnie, aby w razie uszkodzenia jednego z nich, miał już drugi gotowy. Owa podróż jego żony do Londynu, w ciągu której miss Blake widziała Różę wychodzącą z wagonu razem z Karolem, była przedsięwzięta jedynie w celu oddania do naprawy jednego rzędu sztucznych zębów, od którego oprawa pękła w dniu poprzedzającym. Róża była zmuszona oddać go i odebrać sama, gdyż oboje obawiali się pozostawić swój adres panu Bennet.

Teraz już łatwo domyśléć się jakim sposobem sir Adam ukrywał się w Labiryncie. W dzień pracował w ogrodzie jako stary, garbaty, schorowany i nie mający zębów Hopley; wieczorem znikał sztuczny garb, bluzę zamieniał na frak, sztuczne zęby zastępowały utracone przedwcześnie, i sir Adam odzyskiwał właściwą sobie powierzchowność gentlemana. W dzień nie zdejmował ani na chwilę ubrania nadającego mu postać starca, jadał nawet w kuchni, gdzie Anna usługiwała mu z największem uszanowaniem. Gdy w czasie choroby Róży, mistress Chaffen chciała wejść do kuchni, Anna Hopley usłyszawszy jej kroki na schodach, zamknęła prędko drzwi, aby sir Adam miał czas włożyć na głowę swój wielki słomiany kapelusz i wyjąć sztuczne zęby, bez których trudnoby mu było obywać się przy jedzeniu. Co do głuchoty, ta była także zmyśloną.

Takim to sposobem zdołał zapewnić sobie jakie takie bezpieczeństwo i oddawać się pielęgnowaniu kwiatów, co stanowiło zawsze najulubieńsze jego zajęcie.

Wyjaśniwszy wszystko co mogło być niezrozumiałem dla naszych czytelników, możemy wrócić do naszego opowiadania.

— Zamiast jęczyć i narzekać, powinienbyś cieszyć się z tego że zastałeś mnie znów przy pracy! zawołał Adam.

— Ucieszyłoby mnie to z pewnością, gdybym się nie obawiał że może pociągnąć za sobą zgubne następstwa.

— Prosiłam go aby się nie męczył, ale śmiał się tylko ze mnie, rzekła Róża.

— Wszak to robota niezbędna!... nie mogę pozwolić na to aby mój ogród był utrzymywany niedbale, a prócz tego, nie pojmuję czemu miałbym pozbawiać się tej przyjemności, skoro jestem zdrów jak ryba. Kto wie czy nie spłatam ci jeszcze figla, mój poczciwy Karolu.

— Figla?...

— Tak, odzyskując zdrowie...Co też powiedziałbyś na to?

— Podziękowałbym Bogu za taki dowód Jego łaski, i dołożyłbym wszelkich starań abyś mógł przenieść się w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

— Doprawdy, Karolu, nie chciałbym przysiądz na to że nie wyzdrowieję! Czuję się tak żwawym i wesołym! Odsuń się trochę Różo...

Przekopywał ziemię prawie z taką łatwością jak dawniej, i tą sztuczną energią złudził Różę; w oczach jej zabłysła iskierka nadziei.

Gdzie jest Anna? zapytał Adam. Wypiłbym szklankę piwa.

Karol poszedł po Annę Hopley, która wstrząsnęła głową z powątpiewaniem gdy Karol wspomniał jej że obecny stan zdrowia Adama obudził w nim trochę nadziei.

— Nikt jeszcze z osób, które miały pozostać dłużej na ziemi, nie wyglądał tak jak on obecnie, rzekła nalewając piwo.

— Zdaje mi się że ma dziś lepszą cerę.

— Tak, i będzie miał to lepszą to gorszą aż do końca. Byłam już nie raz przy chorych i nabrałam pod tym względem doświadczenia. Co zaś do tego, co sam mówi o swym powrocie do zdrowia, to wszakże sir zna go dobrze... rozpowiada często rzeczy w które sam nie wierzy. Niepodobna nawet wątpić że wie doskonale co go czeka.

I rzeczywiście nie było już żadnej nadziei.

W nocy — czyli raczej nazajutrz rano, bo zaczynało już świtać — śniło się Karolowi że koło niego grad pada, ziarnka jego spadały z takim szumem i hałasem iż obudził się nagle. Przez kilka sekund nie umiał zdać sobie z tego sprawy gdzie się znajduje, w końcu jednak pomiarkował że szum który słyszał, nie był tylko sennem złudzeniem; grad uderzał ciągle w szyby.

Jednak...czy to grad rzeczywiście? Kto wie co to być może?...Trzepie tylko po jednem oknie, i to z przestankami. Sądząc z odgłosu możnaby przypuścić że to ziarnka grubego piasku spadają na szyby.

Wstał, otworzył okno i wychylił głowę. Pan Smith stał tuż pod oknem. Przeczucie jakiegoś nieszczęścia przejęło go dreszczem.

— Jest już bardzo źle, rzekł Smith, tak zniżonym głosem że Karol zaledwie mógł dosłyszeć, a jednocześnie wyciągnął rękę w kierunku Labiryntu. Pan Moore jest przy nim... sądzi że to już koniec... dla tego uważałem sobie za powinność uwiadomić cię o tem, sir Karolu.

— Któż powiedział to panu? zapytał Karol.

— Anna Hopley przybiegła do mnie drżąca i przerażona, prosząc abym pobiegł po doktora.

— Dziękuję, odpowiedział Karol, będę tam za parę minut.

(D. c. n.)



Pl. 510.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.